

SZOLEM-ALEJCHEM

**KASRYLEWKA**

Szolem-Alejchem Szolem-Alejchem

**Kasrylewka**

«Public Domain»

## **Szolem-Alejchem S.**

Kasrylewka / S. Szolem-Alejchem — «Public Domain»,

Czy można śmiać się z własnej biedy? Że jest to możliwe, potwierdza zarówno Szolem Alejchem, jak i mieszkańcy wymyślonej przez niego Kasrylewki, fikcyjnego miasteczka żydowskiego w zaborze rosyjskim. Są to ludzie, którzy mimo ubóstwa wszystko byliby w stanie oddać za cięte słówko, celną ripostę czy wymyślenie efektownego przysłowia. Humor ten nie przekreśla jednak ani życiowej zaradności, ani innych zalet charakteru. Pojawiający się w wielu opowiadaniach lokalny mędrzec, reb Juzipl, jest oczywiście równie śmieszny, co pozostali mieszkańcy miasteczka, ale nie przestaje być z tego powodu mędrce ani nie traci godności. Jak zaś dalece Żydzi potrafią śmiać się z siebie, o tym najlepiej świadczy opowiadanie żartujące ni mniej, ni więcej tylko ze strachu przed pogromem.

## Содержание

Pogorzelcy z Kasrylewki	5
Rozdział I. Wybrańcy	5
Rozdział II. Fiszel porusza niebo i ziemię	8
Rozdział III. Kasrylewka pali się niczym świeca	11
Rozdział IV. Reb Juzipl toczy wojnę z Bogiem	13
Rozdział V. Po kataklizmie	14
Rozdział VI. Cicho! Sza! – Kasrylewka rusza w świat	17
Rozdział VII. Kasrylewka wśród „narodów”	19
Rozdział VIII. Kasrylewka wśród „swoich”	22
Rozdział IX. O „Żydzie, co to...”	24
Rozdział X. W świecie chaosu i zamętu	27
Rozdział XI. Za wysokimi progami	29
Rozdział XII. Cud	31
Nowa Kasrylewka	33
Wstęp	33
Rozdział I. Kasrylewski tramwaj	34
Rozdział II. Kasrylewskie hotele	38
Rozdział III. Kasrylewskie restauracje	43
Rozdział IV. Kasrylewskie wino i kasrylewscy pijacy	47
Rozdział V. Kasrylewski teatr	50
Rozdział VI. Kasrylewskie pożary	56
Конец ознакомительного фрагмента.	57

# Szolem Alejchem

## Kasrylewka

### Pogorzelcy z Kasrylewki

#### Rozdział I. Wybrańcy

Wielkie i wspaniałe stare miasto gojowskie<sup>1</sup> Jehupec (tak autor nazywał w swoich utworach Kijów) w całej swojej długoletniej historii czegoś podobnego jeszcze nie widziało. Założone przed tysiącem lat, w okresie panowania Włodzimierza Świętego, rozciągało się teraz na dużej przestrzeni wzdłuż Dniepru. Wspinało się na wzgórze, aby w innych miejscach opadać w dół ku brzegowi rzeki. W opisywany przeze mnie poranek kończącego się lata Jehupec miał okazję ujrzeć na swoich ulicach jakieś niezwykle typy Żydów.

Rzecz oczywista, że nie należy upierać się przy tym, iż to „nieżydowskie” miasto nie miało pojęcia o Żydach, że nie miało w swoich murach Żyda nawet na lekarstwo. Wręcz przeciwnie. Od niepamiętnych czasów miało zawsze i ma dziś z Żydami do czynienia. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że nigdy nie brakowało w nim Żydów, tak jak nigdy nie brakuje człowiekowi kłopotów.

Ileć się wypadnie ci czytelniku wpaść do tego miasta i sięgnąć po miejscową gazetę, zetkniesz się już na pierwszej stronie z Żydami. Nic, tylko Żydzi. A to, że na uniwersytet zdawało tylu a tylu Żydów. I również, ilu to z nich nie zostało w tym roku przyjętych. Albo o innych sprawach, ale też o Żydach, a mianowicie: ostatniej nocy w czasie obławy ujęto tylu i tylu Żydów bez papierów. Słowem, zdających na uniwersytet nie przyjęto, natomiast ujętych w czasie obławy przyjęto. Oczywiście do cyrkułu<sup>2</sup>. A gdyby tak było odwrotnie. Na uniwersytet przyjąć, do cyrkułu zaś nie. Mrzonki. Tak być nie może. To niemożliwe. Tak, jak niemożliwe jest, aby głodny człowiek zamiast do własnej gęby pakował jadło do cudzej.

A wracając do rzeczy. Co to za Żydzi zebrali się owego poranka kończącego się lata w mieście Jehupec? Byli to nobliwi obywatele Kasrylewki. Szanowani i szacowni obywatele tego miasta. Nie byle jacy obywatele i gospodarze domów, ale wybrani z wybranych. A wybrani zostali po to, aby dokonać czynu zbożnego, ważnego i miłego Bogu. Słowem, towarzystwo było wybrane i dobrane. Śmietanka miasta Kasrylewki. Chętnie wymieniłbym ich nazwiska, ale sądzę, że nie jest to konieczne. Albowiem Żyd z Kasrylewki, który zajmuje się czynieniem dobra, nie ugania się za zaszczytem i nie łaknie sławy. Zresztą, nie jest przyzwyczajony do oglądania swego nazwiska w gazecie. Jemu wystarczy najmniejsza szczypta sławy i odrobina zaszczytu na miejscu u siebie, wśród swoich. Chętnie zadowolony się tym, że go rodacy zaoszczędzą<sup>3</sup> i nie zelżą.

Wśród zebranych wybrańców był też jeden, starszy wiekiem pan. Można powiedzieć – bardzo stary pan, a nawet wiekowy starzec. Osiemdziesiątka dawno mu już stuknęła. Zgarbiony, opierał się o starą laskę. Poza tym jednak, bez uroku, trzymał się jeszcze całkiem, całkiem. Miał na sobie sobotni, świąteczny ubiór. Jedwabny bezrękawnik nosił na starej, atlasowej kapocie z wcięciami. Na głowie miał sztrajml<sup>4</sup>, na nogach pończochy i kamasze. Jego towarzysze nie byli tak świątecznie ubrani. Za to byli w świątecznym nastroju. Żwawymi i dziarskimi krokami przemierzali ulice. Byli jakby trochę nadęci i nieco zdenerwowani. Każdy z nich nosił pod pachą brzuchaty woreczek, w którym

---

<sup>1</sup> *gojowskie* – nieżydowskie; *goj* oznacza nie-Żyda. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *cyrkuł* – komisariat policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *zaoszczędzić* – tu: oszczędzić. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *sztrajml* – chasydzki kapelus z obramowaniem lisim futrem. [przypis tłumacza]

był *tates*<sup>5</sup> i *tefilin*<sup>6</sup>. Ponadto każdy miał przy sobie parasol. Były to jednak jakieś cudaczne i dziwnie wielgachne parasole. Jeden Pan Bóg w niebie chyba wiedział, w jakim celu je dźwigali. Pora i pogoda – bezdeszczowa i bezsłoneczna – nie była dla nich stosowna. Autor tego opowiadania dawno już zauważył, że istnieją Żydzi, którzy za nic i nigdy nie rozstają się z parasolem. Pora roku nie gra tu roli. Wielu takich Żydów z parasolami widywał w swoim życiu, ale nigdy nie zauważył, aby parasole były otwarte i rozpostarte nad ich głowami. A takie jest przecież przeznaczenie parasola. Niejednokrotnie spotyka się zabieganego Żyda, który za czymś pędzi. Jest on zwykle pochylony do przodu. Wiatr wieje mu w twarz. Smaga go i biczuje. Poły kapoty pod wpływem wiatru zwijają się w kłębek, który miarowo uderza i bije Żyda w tył głowy. On jednak trzyma w ręku parasol, który również kołysząc się, bije i uderza. Tik-tak, tip-tip, trzask-prask i zawsze po łydkach. Kiedyś ogarnęła mnie chętka, by zatrzymać takiego Żyda. Chciałem obejrzeć jego parasol, wziąć go do ręki i zważyć. Proszę sobie wyobrazić, że ważył ładnych parę funtów. Takiego parasola nie sposób otworzyć. A gdyby któremuś z moich czytelników ta sztuka się udała, to może być pewnym, że zamknąć go już mu się nie uda. Druty jakoś poprzecznie i na sztorc, główkami do góry się wyginają, a parasol zamienia się w spadochron. Przy silnym wietrze gotów was niczym samolot unieść w przestworza.

Zostawmy jednak parasol i wracajmy do naszych Żydów.

Ci posuwali się tak szybko, że odnosiło się wrażenie, iż ktoś ich z tyłu pogania. Nasuwała się też myśl, że pośpiech ten wywołany jest obawą, iż mogą spóźnić się na oczekującą ich ucztę, wesele lub inne przyjemne bądź ważne zebranie. Rozmawiali głośno i wszyscy naraz. Od czasu do czasu przystawali i założywszy ręce do tyłu zaczynali przypatrywać się wysokim, pięknie i bogato zbudowanym kamienicom. Patrzyli i patrzyli i napatrzeć się nie mogli.

– A ten, na przykład, domek wam się podoba? – pyta jeden z wybranych. Czapka zsunęła mu się na bok. Oddycha głośno niczym miech kowalski. Rusza też bokami jak strudzony długą i ciężką drogą koń.

– Macie wy pojęcie, co to za domek? To ci dopiero chatka!

– Owszem, niczego sobie domek – odpowiada szeptem drugi. Mówi tak cicho, że zdaje się, iż ledwo żyje.

– A jak pan uważa, ile też taki domek może kosztować?

To pytanie zadaje trzeci z kolei. Wygląda na tetryka<sup>7</sup>. Oczy mu się błyszczą jakimś szczególnym blaskiem. Rękoma trzyma się pod boki.

– Ten domek? – odzywa się ktoś z boku. Jest to człowiek o bardzo wysokim czole. Widać, że biegły w liczeniu i znający się na domach. – Ten domek, wraz z placem<sup>8</sup> w samym centrum miasta, powinien kosztować nie mniej niż sto tysięcy.

– Cha, cha, cha! – młodzieniec o bladej twarzy, na której dopiero co zaczynają mu się sypać wąsy, śmieje się do rozpuku.

– Sto tysięcy, powiada pan? Obyśmy wszyscy tu razem zebrani mieli tyle, ile więcej będzie kosztował.

– Osioł! – replikuje tetryk o błyszczących oczach. – Skoro już mówimy „obyśmy”, to już lepiej, żebyśmy mieli tyle, na ile ten domek jest zadłużony.

Rozmowa zeszała na domy. Toczy się długo. Nie widać jej kresu i sensu. Jest ona jednak tylko pretekstem. W istocie wszyscy się już porządnie zmęczyli tym łażeniem pod górę. Każdy ma ochotę na odpoczynek, na odsapnięcie.

<sup>5</sup> *tates* – dosł.: „narzuta”; szata liturgiczna, wełniana biała chusta w niebieskie lub czarne pasy, w którą owijają się żonaci mężczyźni podczas modlitwy porannej oraz w czasie innych, ściśle określonych przez przepisy religijne nabożeństw. [przypis tłumacza]

<sup>6</sup> *tefilin* – dosł.: „modlitwy”; nazwa dwóch skórzanych pudełeczek zawierających wypisane na pergaminie modlitwy – przepisy, które mężczyźni od trzynastego roku życia wkładają na głowę i lewą rękę podczas modlitwy porannej w dni powszednie. [przypis tłumacza]

<sup>7</sup> *tetryk* – osoba zgorzkniała i zgryźliwa. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *plac* – tu: działka budowlana. [przypis edytorski]

– Zdaje mi się, szanowny rebe<sup>9</sup>, że ciężko przychodzi wam ta wspinaczka. A może by tak usiąść na chwilę? – te słowa skierowane zostały do starca, który nie bacząc na swoje osiemdziesiąt lat, rażno posuwał się naprzód. Nasi wybrańcy przystanęli. Szukali oczyma miejsca na odpoczynek dla starego. Nim jednak zdążyli miejsce takie znaleźć, wyrósł nagle przed nimi jakiś stwór, uzbrojony od stóp do głowy. Twarz miał czerwoną, a na rękach nosił białe rękawiczki. Szedł prosto na nich. Nasi wybrańcy przerazili się. Zabrakło im tchu w piersiach, krew w żyłach zastygła. Oczy utkwili w starcu. Czekali na to, co on powie. Stary jednak nie powiedział ani słowa. Oparł się tylko jeszcze mocniej o swoją laskę i dziarsko ruszył do przodu. Jak prawdziwy bohater. Wszyscy podążyli za nim. Uzbrojony stwór nie spodziewał się tego. Stanął jak wryty. Nie wiedział, co dalej począć. Co zrobić? Zatrzymać ich, czy nie? Nie ma powodu. Porządku nie zakłócali. A więc pozostaje puścić ich. Trzeba jednak stwierdzić, co to za ludzie. Dlatego też odwrócił głowę w ich kierunku i nie przestawał ich śledzić. Oni zaś wspinali się coraz wyżej. Wkrótce zatrzymali się przed bramą wspaniałej kamienicy. Zadzwonili.

A teraz pytanie. Dokąd to właściwie udali się nasi wybrańcy z Kasrylewki? Do kogo i w jakim celu? Odpowiedź jest prosta. Udali się do bogaczy. Zbierają jałmużnę, datki na chleb dla głodnych i biednych. Wzbudzają litość dla biednej, opuszczonej Kasrylewki. Znasz mnie czytelniku nie od wczoraj. Wiesz doskonale, że nie należę do ludzi, którzy lubią przynosić złe wieści. Nie ma jednak rady. Przyszedł czas i musisz się o tym dowiedzieć. Kasrylewka poszła z dymem.

---

<sup>9</sup> *rebe* – tytuł grzecznościowy. [przypis edytorski]

## Rozdział II. Fiszel porusza niebo i ziemię

Tak, drodzy przyjaciele, Kasrylewka poszła z dymem. I nie myślcie sobie, że był to zwyczajny pożar.

Tego lata, chwała Bogu, sporo żydowskich miast i miasteczek poszło z dymem. W czym więc rzecz? W tym, że jest różnica między pożarem a pożarem. Widocznie Kasrylewka chciała się popisać przed światem. Nic też dziwnego, że zwracając się do wszystkich miast żydowskich używała takich oto słów: „Co? Trawi was pożar? Palicie się? Ależ to śmiechu warte. Za pozwoleniem, ja wam pokażę, jak miasto się pali”. I faktycznie, Kasrylewka zaczęła płonąć jak świeca. Nie wyprzedzajmy jednak wypadków. Opis pożaru pozostawiam memu koledze Fiszelowi – korespondentowi gazety. On się tym zajmuje. Dla niego to robota. Nazajutrz, wczesnym rankiem, tuż po pożarze, od którego notabene sam ucierpiał, korespondent Fiszel spłodził relację do gazety. Sam ledwo uszedł z życiem, zaś znalezienie w tych warunkach pióra i atramentu graniczyło wprost z cudem. Relację rozesłano do wszystkich gazet żydowskich. Oto jej treść, wyrażona pismem kaligraficznym w poetyckim stylu:

Z nieba rozlega się potężny głos!

Kasrylewka – Córka zanosi się płaczem nad swoim nieszczęściem. Nie szuka pociechy, choć spotyka ją jedna klęska za drugą, jedno cierpienie za drugim. Nie zdążyła Kasrylewka otrząsnąć się z jednego nieszczęścia, a już nawiedziło ją drugie. Rozlała się nad nią czara goryczy. I to z woli Boga. Z nieba spadł na nią ogień i ogarnął od końca do końca. Języki ognia wylizały ją doszczętnie. Ogień nie okazał litości nawet świętym bożnicom. Nie oszczędzał niemowląt. Wszystkie poszły z dymem do nieba. Pastwą ognia stali się też starcy, chorzy i słabi. A działo się to onego dnia, gdy Pan Bóg postanowił nas ukarać za grzechy okrutne i wielokrotne, gdy nie przejawiał litości nawet dla Świętej Tory<sup>10</sup>, która spłonęła wraz z bożnicą. Obecnie znaleźliśmy się pod gołym niebem. Jesteśmy nadzy, bosy i opuszczeni. Jesteśmy głodni. Trawi nas pragnienie. Takie, jakiego doznają łanie na suchym, pustynnym stepie, gdy spragnione czatują i wypatrują wody przy ujściach rzek i strumyków. I jak te łanie, tak i my zwracamy oczy ku naszym miłosiernym braciom, dzieciom miłosiernych rodziców. Ślemy do was błagania. Okażcie litość. Okażcie szlachetność. Niechaj miłosierdzie zagości w waszych sercach i niechaj wasze litościwe ręce jak najszybciej wyciągają się ku nam z pomocą. Marny bowiem jest nasz los. Ratujcie nas przed głodem. Nie dopuście do tego, aby pozostała resztką synów Jakuba zginęła.

Wydaje się, że nic złego by się nie stało, gdyby ta serdeczna i wstrząsająca korespondencja, w której każde słowo brzmi jak westchnienie, a każda litera wyciska łzy z oczu, ukazała się właśnie w żydowskiej gazecie. W redakcji jednak wzięli ją na warsztat. Pracę Fiszela skrócono. Wyciśnięto z niej całą esencję i kwintesencję. Zostało z niej wszystkiego trzy i pół linijki, i to *petitem*<sup>11</sup> gdzieś w kąciku nie pierwszej strony gazety:

Kasrylewka padła ofiarą pożaru. Nie obeszło się bez ofiar w ludziach. Uprasza się o pomoc.

Prawda, że gazety mają jakieś tam usprawiedliwienie. Ich redaktorzy twierdzą, że otrzymują od Fiszela z Kasrylewki niemal codziennie obfitą korespondencję. Gdyby chcieli wydrukować wszystko, co im Fiszel nadsyła, musieliby, tak powiadają, założyć oddzielną gazetę, specjalną drukarnię i zatrudnić nowych ludzi.

---

<sup>10</sup> *Tora* – dosł.: „nauka”; nazwa *Biblii*, w szerokim pojęciu oznacza wiedzę, nauki religijne. [przypis tłumacza]

<sup>11</sup> *petit* – drobny druk. [przypis edytorski]

A przecież zależy im na sensacyjnych wiadomościach. A jak już do czegoś przychodzi, to nagle okazuje się, że Kasrylewka stała się przeszkodą, zawadą dla tych samych redaktorów, którzy gdy zamierzają wydać nowe czasopismo lub nową książkę, nie żałują pieniędzy na prospekty wysyłane do mieszkańców Kasrylewki, w których nie wstydzą się zwracać do nich per „wielce szanowni i bardzo kochani abonenci”. Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że Kasrylewka nie może się poszczycić wielką ilością abonentów. *Summa summarum* jest tam tylko jeden jedyny abonent. Jest nim Zajdel, syn reb<sup>12</sup> Szaji. To z jego łaski korzysta nasz korespondent Fiszel, gdy chce przeczytać gazetę. Po nim czytają inni, ci, którzy łakną drukowanego słowa. Ale co to ma wspólnego z Fiszlem? Dlaczego jego listy i utwory wrzucają z miejsca do kosza, zanim ktoś je zdąży przeczytać? Dlaczego w okresie poprzedzającym jakieś święto redaktor gazety wykazuje nagle zapał i popisuje się artykułem, w którym roi się od cukierkowatych słów w rodzaju:

Kto zliczył prochy Jakuba?  
I kto zliczył rycerzy Izraela?

Czyżby w podliczonych sumach uwzględnił również i naszych małych ludzi? A czyż oni, moralizatorzy, którzy wytykają nam błędy i obdarzają nas pięknymi epitetami w rodzaju „wyzyskiwacze”, „pasożyci”, „krwiopijcy” itd. , mieli i nas, Żydów z Kasrylewki, na myśli? W takim wypadku Kasrylewka może powiedzieć: „I ja się mogę przydać na ofiarę. Na bezrybiu i rak ryba.”

Mimo to nie sądzicie, że po pożarze Kasrylewka poprzestała tylko na korespondencji Fiszela. Wysłane zostały również piękne poetyckie listy. Oczywiście wyszły one spod pióra Fiszela. Wysłano je do wszystkich zakątków diaspory, gdziekolwiek tylko mieszkał jakiś bogaty Żyd bądź bogacz o znanym nazwisku. A więc do Jehupca, Odessy i do Moskwy. Również do Londynu, a nawet Paryża – do samego arcywielkiego Rotszylda. I nie ma tu co wydziwiać i zastanawiać się, jakim cudem Kasrylewka mogła dotrzeć aż do niego. Proszę sobie wyobrazić, że od wielu lat Kasrylewka otrzymywała na święto Pesach<sup>13</sup> od Rotszylda z Paryża pieniądze na macę<sup>14</sup> dla ubogich. Sto franków regularnie przychodziło na adres reb Juzipla. Prawdą jest też, że od pewnego czasu Rotszyld przestał przysyłać pieniądze.

Dlaczego? Tego nikt nie wie. Mimo to Żydzi z Kasrylewki nadal piszą do Rotszylda przy różnych okazjach. Z okazji wydarzeń radosnych i, nie daj Bóg, z okazji nieszczęść. A że już nie otrzymują od dłuższego czasu żadnych odpowiedzi na swoje listy, to co z tego? Żaden problem. Może znudziło mu się czytanie tych długich epistoł. I ciastka mogą się przejeść. A może tam w Paryżu przydarzyło się Rotszyldowi to, co ongiś faraonowi, królowi Egiptu? Biblia o tym tak powiada: „I powstał nowy król, który nie znał Józefa, który udawał, że go nie zna”. Mam tu na myśli sekretarza Rotszylda, tego, który dostaje pocztę i pierwszy czyta wszystkie listy. Listy, które jemu przypadają do gustu, przekazuje Rotszyldowi. Z listami, które mu się nie podobają, postępuje zgoła inaczej. Wrzuca je do kosza i ma je z głowy. Czy tak jest naprawdę, tego nie wiem. Sądzę jednak, że tak może być.

<sup>12</sup> *reb* – skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>13</sup> *Pesach* – dosł.: „przeskoczyć, ominąć”; nazwa świąt wielkanocnych, pochodząca stąd, że według *Biblii* dziesiątą plagą, którą Bóg doświadczył Egipcjan przed wyzwoleniem Żydów z ich niewoli, było uśmiercenie egipskich niemowląt pierworodnych płci męskiej, czego dokonując Pan Bóg omijał (przeskakiwał) te domy, w których mieszkali Żydzi (pomazane uprzednio krwią baranka). W święta te Żydom nie wolno spożywać chleba, bułek ani żadnego pieczywa wypiekanego na drożdżach. Ponadto nie wolno używać naczyń, w których gotuje się przez cały rok, gdyż zachodzi obawa, by nie zjeść czegoś, co nie jest przasne. Używa się więc wtedy specjalnych naczyń oraz jadła dozwolonego przez ściśle przestrzegane przepisy religijne. Pesach jest też nazwą ofiary religijnej w formie uczy, libacji sakralnej. [przypis tłumacza]

<sup>14</sup> *maca* – cienkie, przasne placki, które Żydzi spożywają w święta wielkanocne zamiast chleba, na tę pamiątkę, iż gdy uciekali z niewoli egipskiej, nie zdążyli upiec sobie chleba na drogę, a ciasto bez drożdży, które z sobą zabrali, upiekło się na słońcu. [przypis tłumacza]

Słowem, przekonaliście się, że Kasrylewka to miasto, które ma kontakt z całym światem i prowadzi z nim rozległą korespondencję. Gdy tylko wydarzyło się nieszczęście, z miejsca podano je za pośrednictwem Fiszela do wiadomości całego świata. Bezustannie trąbiono o tym. Wszyscy mieszkańcy Kasrylewki wypatrywali teraz tego, który w ich niedoli pierwszy zjawi się z pomocą.

### Rozdział III. Kasrylewka pali się niczym świeca

Skąd to nieszczęście wzięło swój początek? Chyba ze starej łaźni. A zaczęło się od płonącej szczapy. Ogień szybko się rozprzestrzenił. Zajął się dach i płomienie rychło objęły całą łaźnię. Gdy „Adam” i „Ewa”, czyli łaźiebny i łaźiebna, ledwo zdążyli wyskoczyć z ognia, od razu pomyśleli: „Biada, co z naszym rebem?”

W mgnieniu oka „Adam Pierwszy”, czyli łaźiebny, znalazł się w domu reb Juzipla i wyniósł go na swoich potężnych rękach w sposób, w jaki wynosi się niemowlę z kołyski. Reb Juzipl jak dziecko zasłonił rękoma oczy przed pożarem, od którego łuna oblała swoim światłem całą rzekę z rosnącymi nad nią wierzbami. Widać było niebo, do którego unosił się ogień oraz wznoszący się spiralą coraz wyżej i wyżej dym. Raz po raz wyskakiwały z niego małe i duże iskry i wtedy gęsty dym przybierał inne oblicze. Nabierał jakiegoś osobliwego wdzięku, stawał się kolorowy – czerwony. Wszystko było czerwone – rzeka, niebo, wierzy i ludzie. Reb Juzipl nigdy jeszcze takiej czerwieni nie oglądał i nie widział takiego piękna. Nie mógł wyjść z podziwu. Toteż, gdy „Adam Pierwszy” postawił go na nogi, pierwsze jego słowa skierowane do samego siebie brzmiały tak: „Jakże piękny i cudowny jest ten Boży świątek!” Wnet się jednak połapał i zwróciwszy się do „Adama” i „Ewy” rzekł:

– Dzieci moje, czy nic wam się nie stało? Bogu Wszzechmogącemu dzięki za to, że nie pokarał nas ogniem.

– Nie pokarał nas ogniem? – łaźiebny nie mógł się pohamować. Przy wtórze gorzkiego śmiechu rzekł z sarkazmem: – A czym nas pokarał? Wodą?

– Nie o to mi chodzi – usprawiedliwiał się rebe. – Mam na myśli cud, dzięki któremu zostaliśmy uchronieni od śmierci. Chwała Stwórcy.

– Uchronieni od śmierci? A po co mamy żyć, skoro nie mamy już łaźni!

– Mówisz jak dziecko – przerywa mu reb Juzipl i zasłania się rękami przed ogniem. – Gdzie to jest napisane, że musisz mieć łaźnię? Kiedy urodziłeś się, toś głuptasku przyszedł na świat wraz z łaźnią? A czyś liczył, że po śmierci, oby to nastąpiło za sto lat, gdy przyjdzie iść na tamten świat z woli Boga, przytargasz z sobą łaźnię? Kiedyś był sobie król...

I reb Juzipl chciał – tak jak to było w jego zwyczaju – opowiedzieć bajkę z morałem o królu. Łażiebny przerwał mu na samym początku.

– Co mi tam król? Jaki tam król? Bardzo przepraszam, ale niech rebe lepiej popatrzy na ogień, który moim zdaniem przenosi się na tamtą stronę, w kierunku miasta. Coś mi się zdaje, że wiatr wieje mocniej. Boję się, żeby się nie zajął dom rzeźnika Lewi-Mordechaja wraz z jego stajniami. Wtedy żegnaj Kasrylewko!

Chwila, kiedy padły te słowa, była widocznie fatalna, bo oto ogień objął dom i stajnie Lewi-Mordechaja.

Nowy kawał nieba stanął w pełnym świetle. Zabudowania zaczęły trzaskać i pękać. Rozległo się meczenie kóz i gdakanie kur. Kilka kur z impetem wyrwało się z kojca i z rozczapierzonymi skrzydłami puściło się biegiem w dół góry, na której wznosiło się miasto. Wnet została oświetlona cała góra wraz z miastem. W świetle stało również rozciągnięte nad nim niebo. Jakiś dziwny krzyk piskliwym echem dochodzi tu z miasta, coraz bardziej potężnieje i zlewa się z ujadaniem psów, muczeniem krów, piskiem kobiet, płaczem dzieci i nieustannymi nawoływaniem: „Wody! Wiader! Ratunku! Szybciej! Pali się!” Nagle z góry do rzeki stacza się jakaś płonąca żagiew. Jest to głównie na czterech nóżkach. Wykonuje jakiś taniec, coś tam wyczynia ze swymi rogami i leci wprost do rzeki. Nie dolatuje jednak. Pada jak długa na ziemię. Nóżkami do góry. Drży, trzęsie się ze strachu przed śmiercią. Wydaje dziwny ryk: „mee, mee.” To koza, która w swojej głupocie najpierw skoczyła do ognia, szybko jednak poczuła jego skutki i wyskoczyła. Było już za późno. Futerko w mig się zapaliło, a koza puściła się biegiem jak szalona. Hop, hop w dal. Bez planu, bez sensu.

W bieganinie Żydów i Żydówek z Kasrylewki też nie było większego sensu. Rzucali się z jednej ulicy na drugą jak myszy, które połknęły truciznę. Jedno drugiemu przekazywało wieść:

– Słyszeliście? Eli-Dawid się pali!

– Wiecie? Ogień dotarł już do rynku!

– Wiecie? Pali się całe miasto. Niech mnie szlag! Całe miasto!

Jak świeca! Buszuje ogień, szturmując jak rozszalałe morze. Wiatr roznosi duże główne i snopy słomy, lecą niezliczone iskry, i spadają na całkiem wysuszone ze starości słomiane lub drewniane dachy. Słysząc trzaski i huki, wybuchy pękających i rozpadających się domów. Wszystkie te odgłosy zlewają się w jedno z krzykiem, kwikiem, piskiem, płaczem i szlochem. Zdaje się, że to nie ludzie pędzą w szalonym biegu, lecz duchy i diabły. Pędzą na oślep i назад. Z jednej strony na drugą. Zupełnie jak zatrute myszy. Jak te nie dorżnięte kury. A wielki, potężny, jasny ogień oświetla i upiększa ich szare, zmęczone, przerażone twarze. Kasrylewka pali się. Płonie niczym świeca.

## Rozdział IV. Reb Juzipl toczy wojnę z Bogiem

Dopóki ogień trawił łaźnię, „Adam” i „Ewa” nie zwracali uwagi na reb Juzipla. Później jednak, gdy z łaźni pozostał tylko żelazny kocioł z kominem (nawet mykwa<sup>15</sup> doszczętnie spłonęła), „Adam” i „Ewa” rzucili się ku „rebemu”. A tu „rebeego” nie ma. Na próżno szukali go przy studni, nad rzeką i wśród płonących ulic w mieście.

– Nie spotkaliście gdzieś rebeego?

Łaziebny zadawał wciąż to samo pytanie nieszczęsnym uciekinierom spod ognia, pogorzelcom z miasta. Ci jednak byli tak przerażeni i zmieszani, że nie słyszeli, co do nich mówiono. Zdziwieni, łypali oczyma pełnymi strachu.

– Jakiego rebeego? Czyjego rebeego?

A gdzie był, gdzie się podział reb Juzipl? Reb Juzipl, rabin Juzipl we własnej osobie, skoro tylko zauważył, że miastu grozi niebezpieczeństwo, zerwał się, złapał stary, z ognia uratowany sztrajml<sup>16</sup> oraz starą laskę i puścił się w drogę do swoich Żydów, do miasta, nie zdając sobie sprawy, dokąd i po co idzie. Przy jego osiemdziesięciu latach był to nie lada spacer. Mając przed oczyma potężne morze płomieni wcale nie odczuwał zmęczenia. Ponośliło go. Był uskrzydłony. Podążał w kierunku starej bożnicy, w której całe swoje życie spędził na obcowaniu z Bogiem. Czyżby Bóg go zawiódł i nie uczynił cudu, aby ocalić jego, reb Juzipla, dom? Czyżby Pan Bóg – Twórca Wszeczmocny – nie zechciał ocalić *Tory*, swojego własnego Pisma Świętego?

Pochłonięty tymi myślami, nasz reb Juzipl przybył do starej bożnicy akurat w momencie, gdy dookoła niej buszował ogień. Ze wszystkich stron strzelały płomienie. W ich świetle ukazał się na wpół rozwalony dach. Wyłoniły się żółte, odłupane z tynku ściany starej kasrylewskiej bożnicy. Jeszcze chwila i Dom Boży stanie w płomieniach.

I nie może reb Juzipl ogarnąć rozumem, dlaczego Żydzi milczą. Dlaczego nikt nie stara się ratować starej bożnicy? Dlaczego nie ratują świętych ksiąg? Ksiąg, w których zawarta jest cała *Tora*? Zamiast tego widzi Żydów pędzących tam i nazad jak dzikie, wystraszone istoty. Rzucają się w ogień, ratują stare i chore kobiety. Wyciągają z ognia małe dzieci, taszcą jakieś ławki, łóżka, poduszki, garnki i inne „skarby”. O Domu Bożym całkiem zapomnieli. Zostawili go na pastwę żywiołu. Jak tak może być? Reb Juzipl usiłuje krzyczeć, próbuje wzywać pomocy: „Święte miejsce pali się! Płonie bożnica!” Nikt go nie słucha. Mija chwila i reb Juzipl jest w bożnicy sam, samiuteńki.

Podchodzi natychmiast do Arki Świętej, wyjmując jeden zwój *Tory*, potem drugi i ledwo uchodzi z życiem. Jest już na ulicy. Zwoje położył z dala od drzwi, na połamanym stołku, który ktoś wyrzucił z domu. Sam staje koło nich i tak się na głos do Boga odzywa:

– Co mogłem, to i zrobiłem. Ile byłem w stanie, tyle uratowałem. Pozostałe Święte Księgi pozostawiłem Tobie. Nie ruszę się stąd ani na krok. Chcę zobaczyć, jak Ty spalisz swoją własną *Torę*. Pismo Święte, które dałeś nam za pośrednictwem Twego sługi Mojżesza na Górze Synaj!

W tym momencie nadszedł łaziebny, nasz znajomy „Adam Pierwszy”. Serce mu podpowiedziało, że rebe powinien być w pobliżu bożnicy. Ujrzawszy rebeego stojącego przy płonącej bożnicy, bez zbędnych ceregieli wziął go w swoje potężne ręce człowieka nawykłego do znoej pracy i wraz ze zwojami świętych ksiąg poniósł w dół, daleko od ognia. Zaniósł reb Juzipla do spalonej łaźni nad brzegiem rzeki.

---

<sup>15</sup> *mykwa* – basen z bieżącą wodą w łaźniach żydowskich, służący do rytualnych kąpielii. [przypis tłumacza]

<sup>16</sup> *sztrajml* – chasydzki kapelusz obramowany lisim futrem. [przypis edytorski]

## Rozdział V. Po kataklizmie

Tak to już jest w zwyczaju tego świata, że w czasie, gdy trwa wojna, nie zwraca się zbyt wiele uwagi na nieszczęścia z nią związane. Poległych zaczyna się liczyć dopiero po ustaniu wojny. Gdy ona mija, przystępuje się do obliczania strat.

Tak też było w Kasrylewce. Dopiero nazajutrz po pożarze zaczęto oceniać rozmiary nieszczęścia. Najpierw, oczywiście, wymieniano informacje z gatunku dziwnych. O tym, jak, kto i gdzie dowiedział się o pożarze. Przy tej okazji każdy miał na podorędziu swoją historię. Bardzo długą historię. O tym, jak to właśnie wczoraj, jakby na urągowisko, wrócił do domu wcześniej niż zwykle, grubo przed wieczorem. Nie miał tego dnia nic do roboty. Tak się złożyło, że tego wieczoru był wściekle głodny i jakby na złość nie było nic do jedzenia. Na domiar złego zapadł w głęboki sen akurat na pół godziny przed pożarem i jakby na złość sen miał wyjątkowo smaczny. Wtedy słyszy: „Gwałtu! Rety! Pali się!”

Inny opowiada jeszcze ładniejszą historię, też z gatunku udziwnionych. Wczoraj wstał bardzo wcześniej, wcześniej niż zwykle. O samym brzasku dnia. Poszedł na rynek. Zamierzał coś tam utargować. Może jakąś skórę tchórza, worek kaszy czy worek kartofli. Grunt, aby coś zarobić. W rynku jednak ani żywej duszy. Wszystkiego jeden chłop z workiem węgla. Zwraca się więc do niego: „Goju, ile chcesz za ten worek węgla?” Tamten odpowiada: „Złotego rubla”. Pyta więc po raz drugi: „A może starczy pół?” Odpowiada tamten: „Nie, tylko cały”. Uparł się przy rublu i trzyma się go kurczowo. Choć bij, zabij. Zakupił więc u tego goja worek węgla. Wziął go na plecy i tak dalej, i tak dalej. Trzy bite godziny ciągnie swoją historię, aż wreszcie dochodzi do pożaru. I tu okazuje się, że w czasie pożaru spał jak zabity. Ledwo go dobudzili.

Trzeci opowiada jeszcze piękniejszą historię. Zaczynają od dnia przedwczorajszego, czyli na dwa dni przed pożarem. Jego opowieść jest bardzo długa, znacznie dłuższa od tej z workiem węgla. I raptem wtrąca się jakaś kobieta, która podważa całą jego relację.

– Co mi tam będzie pan bajki opowiadał. Nic podobnego nie było! Bzdury. Ja wam opowiem, jak się zaczęło. W czwartek poprzedzający pożar rozgniałałam właśnie mąkę na chałę, mąkę, którą przywiózł Berl, syn Bruchy. Ależ to była mąka. Niech mnie Bóg skarże. Taki rok na naszych wrogów. Oględnie mówiąc dotknięta była goryczką...

I potoczyła się przez trzy bite godziny historia o gorzkiej mące i takichże drożdżach. Historia o dzieży, którą pożyczyła od sąsiadki imieniem Pesia. A Pesia to chodząca dobroć. I tak dalej, i tak dalej. Historia bez końca... Zdawało się, że do samego pożaru już chyba nigdy nie zdoła dojść. Nawet gdyby żyła wieki.

Pospołu z tymi pięknymi historiami i opowiadaniem o pożarze słyhać było również płacz, lament i skargi wydobywające się ze zgorzkniałych serc i dotkniętych do żywego dusz. Skargi opuszczonych i osamotnionych, biednych, nieszczęśliwych i pożałowania godnych. Oto stoi matka, załamująca ręce w żalostnej skardze z powodu utraconego dziecka, które spłonęło w kołysce. Tam stoi Żyd, który opłakuje po cichu śmierć swego starego schorowanego ojca, który akurat owej nocy spał na strychu, choć nigdy dotychczas mu się to nie zdarzyło. Spłonął. Pozostał po nim jeno popiół. Tam zaś krąży jakaś dziewczyna, która rękami bije się nieustannie po głowie i woła: „Mamo! Mamo! Mamo!”



Nie miejcie mi za złe, drodzy czytelnicy, że przerwę ten opis w samym środku. W czasie pisania stoi właśnie nade mną muza, a jest ona podobna do wszystkich istot z Kasrylewki. Biedna, ale wesoła. Nie znosi łez. Stroni od smutnych scen. Uważa, że na miano łez zasługują tylko te, które są mokre i błyszczą. Wszystkie zaś pozostałe łzy, które pisarz przelewa na papier, są to, powiada moja muza, łzy suche, sztuczne, pozbawione wszelkiej wartości. Twierdzi też, że prawdziwy ból, to nie ten opisywany

i publikowany, ale „ten, który boli”. Dlatego też odchodzę od smutnych scen. Nie będę ich opisywał. Zatrzymam się tylko na opisie strat, jakie ponieśli moi kasrylewianie w czasie pożaru. Sęk jednak w tym, że nie można dokładnie ich obliczyć. A zresztą, co to pomoże? Co takie obliczenie da? Czy ktoś zwróci im straty? Towarzystwa asekuracyjne zdążyły już się zmówić i skreśliły Kasrylewkę z mapy kraju. Jakby nigdy nie istniała. Zresztą kto jest w stanie wycenić czyjeś mienie, zwłaszcza, że już dawno poszło ono z dymem i ulotniło się z wiatrem? Mienie w ogóle, a mienie kasrylewskie w szczególności, posiada swoistą wartość, której nie sposób wycenić. Stare szmaty i połamane graty są bardzo drogie (jeśli nie droższe) i tak samo cenne dla biedaka, jak najpiękniejsze lustra i najdroższe rzeczy dla bogacza. Bogacz, jeśli utraci jakąś rzecz, może ją odkupić. Ma pieniądze. Kto natomiast biedakowi zwróci to, co ogień mu zabrał?

Tak medytowali pogorzelnicy z Kasrylewki. Doszli też do wniosku, że samym filozofowaniem niczego nie wskórają. Trzeba coś zrobić, coś wykombinować, znaleźć sposób na uratowanie miasta. Co i jak zrobić, aby miasto pozostało miastem? To nie sztuka dopuścić do tego, aby całe miasto rozlało się po świecie, aby wszyscy mieszkańcy poszli po prośbie i wyciągali ręce po jałmużnę, jak to zwykle czynią „pogorzelnicy”.

Tfu! To nie ma sensu! Trzeba zrobić wszystko, aby Kasrylewka pozostała Kasrylewką. Oto nad czym łamano sobie głowę.

Na płomienne i wstrząsające listy, które zostały wysłane do wszystkich zakątków diaspory żydowskiej, odezwało się raptem kilka miasteczek tak samo biednych jak Kasrylewka. Przysłały do Kasrylewki trochę chleba, niewiele starych ubrań i parę złociszy w gotówce. Wszystko to starczyło na jeden ząb. Sytuacja stała się krytyczna. Było już tak źle, że zaprzestano nawet płakać, wzdychać i żalić się. Tak bywa zwykle z człowiekiem, który zamarza. Cicho i spokojnie kona. Życie powoli się z niego ulatnia. Zaczyna zasypiać wiecznym snem. I oto zjawił się, jak zwykle w godzinę próby, reb Juzipl. Tryskał siłą, którą Bóg tchnął w jego słabe ciało. Zwołał zebranie wszystkich gospodarzy z miasta. Zwołał je sam. Nie korzystał z usług i pośrednictwa szamesów<sup>17</sup>. Nie starał się wywyższać. Stanął przed zgromadzonymi i odezwał się tymi oto słowami:

– Dzieci moje żydowskie, słuchajcie uważnie tego, co wam powiem. Nie moje będą to słowa, ale Tego, co wiecznie żyje. On będzie przemawiał przez moje grzeszne usta. Będziecie usatysfakcjonowani. Zapewniam was, że z woli Najwyższego wszystko będzie dobrze. A w czym rzecz? Rzecz w tym, że w istocie zostaliśmy spaleni. Razem z naszymi bożnicami, synagogami, ze świętymi księgami. Zginęli ludzie, zginęły Bogu ducha winne małe dzieci. Nie ulega kwestii, że kara, która nas spotkała, jest straszliwa i dotkliwa, ale sprawiedliwa. Zasłużyliśmy na nią. Ciężko wobec Boga zgrzeszyliśmy. Rozpaczać jednak zbytnio nad nią też nie powinniśmy. Po pierwsze, rozpacz i żaloba nic tu nie pomogą. Po drugie, może się wydać Panu Wszechmogącemu, że pożar Kasrylewki oplakujemy bardziej niż zburzenie Świątyni, niż zagładę Jerozolimy. Przytoczę dla przykładu opowieść o pewnym królu. Dawno temu był sobie król. Miał on syna, jedynaka...

I, dla przykładu, opowiadał im reb Juzipl bardzo ładną opowieść z morałem o królu. Tak, jak to było w jego zwyczajach. Zawsze lubił opowiadać historie o królach. A zakończył tymi oto słowami:

– Z tego łatwo wywnioskować, że nie powinniśmy grzeszyć rozpaczą. Powinniśmy uzbroić się w siłę, wziąć do ręki kije wędrownie i ruszyć drogami diaspory. Zróbcie tak, jak wam, dzieci moje, mówię. I ja też z wami pójdę. Bądźcie pewni, że gdziekolwiek się znajdziemy i dokądkolwiek dotrzemy, spotkamy się z uznaniem i sympatią ze strony naszych bogatych braci, którzy nie dadzą nam zginąć. Wstańcie więc Żydzi – pora napiąć mięśnie, przygotować siły. I jako rzecz *Pismo*, ruszajmy w drogę. Chodźmy!

W trakcie wygłaszania tej przemowy, reb Juzipl zaczyna się wyprostowywać. Pochylony grzbiet wyciąga się jak struna. Jego twarz oblewa jasny blask. Czuje przyływ świeżych sił. Jest młody. Czuje

<sup>17</sup> *szames* – tak nazywano sługę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina. [przypis tłumacza]

się jak młodzieniec, jak bohater, jak gotowy do walki siłacz. I w zgromadzonych Żydów wstępuje otucha. Są gotowi iść. Wyłania się tylko jeden problem: dokąd najpierw pójść? Jest tyle, bez uroku, żydowskich miast i tyłu, bez uroku, bogaczy!

## Rozdział VI. Cicho! Sza! – Kasrylewka rusza w świat

Powiada *Pismo*: „Kto i kim są ci wędrowcy?” A sens tych słów tłumaczono tak: Kto z Kasrylewki ma ruszyć w świat? To pytanie poruszyło całe miasto. Fiszel w jednej ze swoich korespondencji napisał, że miasto przypomina gejzer. Tak wówczas w nim kipiało. Ochotników do wyprawy było co niemiara. Co tu gadać, wszyscy mieszkańcy miasta chcieli wyruszyć i zasłużyć się. A może każdy chciał po prostu przewietrzyć się, rozprostować gnaty, rozruszać kości? Siedząc plackiem na jednym miejscu człowiek wędnie, pleśnieje. W każdym człowieku tkwi jakiś popęd, który gna go w świat. Czasami ogarnia go pragnienie poznania świata. Chce zobaczyć innych ludzi, a po powrocie podzielić się nowinami. A tych nowin chciałby z sobą przywieźć jak najwięcej. Cóż bowiem może być bardziej przyjemnego dla człowieka jak to, by po powrocie ze świata spotkać się z uznaniem ze wszystkich stron? Witają go wtedy serdecznie. Wszyscy pchają się do niego, aby ucisnąć mu dłoń, wszyscy chcą obejrzyć jego twarz. O co tu chodzi? Twarz jak twarz. A jednak jest to przybysz ze świata i twarz ma inną. A kiedy przybywa i otwiera usta, zaczynając opowiadać o wydarzeniach ze swojej przebytej drogi, o cudach wielkiego miasta, wszyscy ludzie, a liczba ich dochodzi do setek, wbijają wzrok w jego twarz i chłoną każde jego słowo. On zaś stoi, bez uroku, twardo przed tłumem i opowiada. Opowiada i coraz bardziej nabiera w oczach ludzi jakiegoś osobliwego wdzięku. Z miejsca staje się „kimś” w mieście. Staje się człowiekiem przez duże C, bohaterem na co najmniej kilka dni. Prawda, te kilka dni szybko mija i bohater przestaje być bohaterem, traci swój wdźwięk i upodobnia się znów do wszystkich ludzi Kasrylewki. A mimo to, kto nie chciałby być bohaterem? Choćby przez godzinę. A mówiąc między nami, czyż jest możliwe, żeby całe miasto zerwało się i hurmem ruszyło w świat? Dlatego postanowiono wybrać delegację w niewielkim składzie. I tu dopiero się zaczęło. Kogo? Właśnie, kogo wybrać? Rzecz jasna, że w skład delegacji powinni wejść co bogatsi i bardziej nobliwi obywatele miasta. Ale bądź tu mądry i przeprowadź w Kasrylewie dokładnie linię podziału między bogaczem i niebogaczem. Między nobliwym i nienobliwym gospodarzem. W Kasrylewie w zasadzie wszyscy nobliwi gospodarze i wszyscy bogacze, nie obrażając nikogo, to niemal biedacy.

Wracając jednak do rzeczy, każde miasto ma jednak swoją elitę, swoją czołówkę. Nonsens! Łaziebnego czy woziwody nie wybierzesz przecież na delegata. Postanowiono więc wybrać gabajów<sup>18</sup> (starostów) ze wszystkich bożnic i stowarzyszeń i, oczywiście, starego rabina Juzipla.

Każdy zapakował swoje manele, zabrał z sobą niezbędne narzędzia pracy, to znaczy tałas<sup>19</sup> i tefilin<sup>20</sup>, parasole i pozostałe akcesoria. Wynajęto dwa przykryte budą wozy i wyprawiono uroczyste pożegnanie. Wszyscy mieszkańcy wylegli na ulicę, aby odprowadzić wybranych delegatów. Życzeniom szczęśliwej podróży nie było końca. I tak ruszyli w drogę.

Dwie doby minęły naszym wybrancom na jeździe po bitym i udeptanym błocie traktu. Trzęsło nimi niemiłosiernie. Zatrzymywali się na krótko w przydrożnej karczmie, aby tylko odsapnąć i wtedy, gdy trzeba było odprawić modlitwę, coś przekąsić lub nakarmić konie. Dopiero trzeciego dnia, rozbici, na śmierć zmordowani, dotarli do stacji kolejowej. Tu nasi wybrańcy rzucili się hurmem do kasy. Wszyscy naraz, tłocząc się, kupili bilety. Tłum czekający na peronie ustępował im z drogi i pokpiwując cicho, wołał: „Cicho! Sza! Kasrylewka rusza w świat!” I to nie chrześcijanie, broń Boże. Ci na odwrót, zatrzymywali się i z wielkim szacunkiem oglądali naszych delegatów, którzy jednym tchem, wszyscy naraz, rozgadali się, żywo gestykułując rękami. A gdy rozległ się pierwszy dzwonek obwieszczający odjazd pociągu, nasi wybrańcy wpadli w popłoch. Wśród zamętu, przepychania i nieprzytomnej bieganiny rozbrzmiewały okrzyki: „Lejzor! Luzer! Chananie! Michał!”

<sup>18</sup> *gabe* a. *gabaj* – jeden z przełożonych bożnicy, pełniący nad nią nadzór. [przypis tłumacza]

<sup>19</sup> *tałas* – szal modlitewny. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *tefilin* a. *filakteria* – dwa skórzane pudełka, w których umieszczone są wersety z *Biblij*. Jedno pudełko przytwierdza się rzemykiem do lewej ręki (obok serca) i drugie do czoła (do myśli). [przypis edytorski]

Żandarm spojrzał na dozorcę takim wzrokiem, że ten zmuszony był zasłonić sobie pięściami ospowatą twarz. Nie chciał, aby widziano, że śmieje się całą gębą, szczerząc przy tym białe, olbrzymie zęby. Wydał tylko piskliwy okrzyk: „Jak wrony zlecieli się Żydzi”. Jeszcze mniej spodobali się nasi Żydzi brygadzie kolejowej. Konduktorzy wepchnęli ich do jednego wagonu. Zmieszali z tłumem podróżnych. Obeszli się z nimi nie tak, jak z szanownymi gospodarzami, starostami bożnic, delegatami udającymi się w podróż w ważnej i służącej dobru ogółu sprawie. I tu w wagonie zaczęła się dla naszych wybrańców seria kłopotów, zmartwień, cierpień i poniżeń. Słowem, zaczęła się prawdziwa diaspora.

Po pierwsze, trafili do wagonu, który, gdyby nie siedzieli w nim ludzie, można by uznać za przeznaczony dla świń. Straszliwy brud, gęsto i czarno od dymu, że tylko siekierę powiesić, smród nie do zniesienia. Nasi kasrylewianie, aczkolwiek nie należeli do zbyt rozpieszczonych i delikatnych, poczuli, że się dławią, że mdleją. A cóż dopiero mówić o ciasnocie. Głowa przy głowie. Pasażerowie – sami prości ludzie. Robotnicy z dziwnie jakoś pachnącymi torbami na plecach i z jeszcze bardziej osobliwie cuchnącymi łapciami na nogach. Bez przerwy kurzyli jakieś obrzydlistwo. Dymem z niego można się było udławić. Miejsc siedzących nie było. Przy lada próbie zajęcia jakiegoś miejsca padały okrzyki: „*Paszol won parchaty. Zaniato!*” Po naszymu, czyli po żydowsku, znaczy to: „Bardzo przepraszam, szanowny Żydzio, miejsce zajęte”. Wszystkie miejsca były zajęte. Nawet te puste. Nasi wybrańcy z Kasrylewki zmuszeni byli więc stać. Zbili się, niczym owieczki, w kupę w kącie wagonu i dusząc się od ciasnoty nie przestawali rozmawiać. A rozmawiali głośno, krzykliwie, wymachując nieustannie rękami i jak zwykle wszyscy naraz.

Rozmawiali, rzecz jasna, o kolei, o współczesnych środkach lokomocji. Potępiali je w czambuł. Za nic mieli te piękne, w ostatnim czasie odkryte wynalazki. Zatęsknili nagle za wozem pokrytym budą, którym jeździło się w Kasrylewce. Mimo jego wad było w nim jednak znacznie wygodniej niż tu.

– Durnie – rezonowali nasi wybrańcy – idioci i w ogóle wariaci wymyślili kolej. Trzask, wrzask i trzęsionka. Cha, cha, cha.

A tam, w gabinetach i laboratoriach za wysokimi progami, siedzą setki tysięcy uczonych, całe rzesze światłych ludzi, którzy pochylają się nad książkami i papierami. Piszą, rysują, wystukują depesze, łamią sobie głowy i dokonują wciąż nowych wynalazków po to, aby się lepiej, szybciej i taniej jeździło. Doszli już do powietrznych okrętów, do samolotów, ale zielonego pojęcia nie mają, nie śni im się nawet, że tu, w wagonie, jedzie grupka kasrylewskich notabli, którzy krytykują ich wynalazki, oceniają je negatywnie, nie zostawiają na nich suchej nitki. I robią to publicznie i głośno.

Cicho! Sza, Kasrylewka rusza w świat.

## Rozdział VII. Kasrylewka wśród „narodów”

Nasi wybrańcy z Kasrylewki tak długo ostrzyli sobie języki, tak długo pokpiwali z kolei i innych wynalazków i odkryć współczesnych, aż im się to wreszcie sprzykrzyło. Zaczęli się wtedy rozglądać na wszystkie strony w nadziei, że znajdą jakieś wolne miejsce, przede wszystkim dla starego reb Juzipla, który był już porządnie zmęczony jazdą. I Bóg im przyszedł z pomocą, znaleźli takie miejsce i posadzili go obok jakiegoś faceta, prawdziwego gagatka, ubranego w czerwoną, wypuszczoną na wierzch spodni koszulę i trzymającego w rękach harmonię. Facet był pod gazem, prościej mówiąc – był zalany w sztok. Przewracał gałkami oczu, grał na harmonii i śpiewał całkiem fajną piosenkę:

Kostiuszkina mat'  
Sobirałaś pomirat'  
Sobirałaś pomirat'  
Umieriet', nie umierła,  
Darom wriemia prowieła.

I jeszcze raz to samo, ale głośniej, o jeden ton wyżej:

Kostiuszkina mat'  
Sobirałaś pomirat'  
Sobirałaś pomirat'  
Umieriet', nie umierła,  
Darom wriemia prowieła.

I znowu tak samo, ale jeszcze głośniej i jeszcze szybciej:

Kostiuszkina mat'  
Sobirałaś pomirat'...

I tak dalej, bez przerwy, jak maszyna.

Jak by nie było, był to jednak sąsiad wesoły. Z drugiej strony Bóg obdarzył reb Juzipla stworzeniem ubranym w jakiś dziwny kozuch barani. Stworzenie było złe i gniewne. Niezyczliwym, jadowitym okiem spozierało na świat i nieprzerwanie pluło. Każdemu splunięciu towarzyszyła jakaś szczególna zawziętość, a nawet okrucieństwo, tak jakby plującego ktoś zdenerwował jakimś zbędnym słowem. Szczęście, że reb Juzipl tego nie zauważył. Był bowiem w tej chwili w zgoła innym świecie. Jego myśli ulatywały hen, daleko od wagonu. Były w dużym i dalekim mieście. Dotarły do notabli tego miasta, do tych, którzy coś znaczą, do tych, którzy są wielcy.

Jak wszyscy Żydzi z Kasrylewki, reb Juzipl żył w świecie imaginacji. Zatopiony w rozmyślaniach, błędził po szlakach fantazji. W tej chwili na skrzydłach wyobraźni przeniósł się do największych spośród „wielkich”. Przed jego oczyma stał olbrzymi pałac o wspaniałym, złotym wystroju. Oto na honorowym miejscu, na wysokim krześle, siedzi bogacz. Zauważywszy przybyłych Żydów, wstaje z krzesła, wita ich serdecznie i pyta, jakie mają życzenie. Wtedy przed innymi występuje właśnie on, reb Juzipl, i powiada: „Sprawa jest taka a taka...” i odczytuje bogaczowi cały elaborat o Kasrylewce, jej Żydach, ich troskach, nieszczęściach i zmartwieniach. Kasrylewscy Żydzi od zawsze byli biedni i nieszczęśliwi, a dziś, po wielkim kataklizmie, są nimi szczególnie. Bogacz wysłuchuje go do końca, podchodzi do szafy i wyjmując z niej okazałą sumę, w te słowa odzywa się do niego, to znaczy do rebego:

– Jak pan uważa, wystarczy?

– Jeszcze jak – odpowiada reb Juzipl. Zaczyna mówić do siebie, gestykulując żywo rękami. Przewraca oczami, rusza głową i wcale nie zauważa, że przed nim, na ławce, siedzą ludzie, a wśród nich kobiety o czerwonych policzkach. Gryzą pestki, śmieją się całą gębą i kpią sobie z naszych kasrylewskich delegatów w żywe oczy. Przedrzeźniają ich, parodiują ich sposób mówienia i nabijają się z ich pejsov<sup>21</sup>. Szczególnie zaś zabawiają się kosztem reb Juzipla, jego sztrajmlem i kapotą.

Śmiech i kpiny wywołały, jako to powiadają, reakcję. Kasrylewscy Żydzi nie pozostali na nie głusi. Nie przemilczeli tego. Zaczęli ze swojej strony krytykować szyderców, dowcipkować na ich temat, a szczególnie rzucać uwagi pod adresem owego faceta w czerwonej koszuli, który miał harmonię i śpiewał piosenkę, i któremu nie zbrzydło powtarzanie w kółko tych samych słów: „*Kostiuszkin mat', sobirataś pomirat' – sobirataś pomirat'.*”

– Widać, że ten goj zdrowo już sobie dogodził – zauważył jeden z naszych kasrylewian. Drugi podtrzymuje go w tym sądzie słowami wypowiedzianymi niby po hebrajsku:

– Z oczu mu to widać!

– Chlusnął, żeby nie usnął – odzywa się jeszcze jeden i patrzy przy tym dla niepoznaki w sufit. Inny znów kończy werselem: – I przepełniony jest po brzegi.

– Drapie się przy tym za kołnierzem.

– Podoba się wam ta melodia? Zapewne jest to piosenka chasydzka<sup>22</sup>. A jakie ma mądre słowa. Głęboka w treści. Matka Kostiuszkin omal nie umarła. Drobnostka!

Nawet reb Juzipl, który daleki był od wszelkich kpin, nie mógł się powstrzymać i zapytał ironicznie swoich kolegów:

– Co mają znaczyć te dziwne i cudaczne słowa piosenki?

Znalazł się natychmiast ktoś, kto wyjaśnił mu sens piosenki:

– Był widocznie, rozumie pan, taki człowiek, który nazywał się Kościuszko. A ten Kościuszko miał matkę. Matka zaś – powiada on – wybierała się umierać, ale nie umarła.

Reb Juzipl natęży umysł, ale nie jest w stanie zrozumieć tkwiącego w piosence sensu.

– Co znaczy szykowała się do śmierci? Czy śmierć zależy od woli człowieka? Umiera się z powodu nędzy...

– Toż to „osłopodobne” pospółstwo. O kim tu mówić? – odzywa się po hebrajsku któryś z wybrańców. Kiwa głową i patrzy z góry na wagonowe towarzyszo. Natychmiast ktoś z towarzysza obdarza go „komplementem”, przedrzeźnia i parodiuje sposób, w jaki Żydzi się modlą. Bije się ręką w piersi i na cudaczną melodię powtarza wciąż: „Tatku! Mamciu! *Tatele! Memele!*” Towarzycho pęka ze śmiechu.

– To z nas się śmieją! Śmieją się z Żyda! Wszędzie kpią z nas – zauważa jeden z delegatów. Z serca wyrывa mu się westchnienie. Głowę kiwa reb Juziplowi, a ten patrzy na owo stworzenie, które przedrzeźnia i parodiuje Żydów.

– Nie z nas się śmieje, moja dziecino, ale z siebie. Z nas nie ma się czego śmiać, duszo ty moja. Nad nami trzeba płakać i z naszego losu trzeba wyciągnąć nauczkę. W przeszłości coś znaczyliśmy, a kim jesteśmy teraz?

I przy tej okazji reb Juzipl opowiada dla przykładu jak zwykle historyjkę o królu. A gromada jej słucha, być może nie po raz pierwszy. A ów typek z wypuszczoną na spodnie czerwoną koszulą obniża stopniowo coraz bardziej tonację śpiewanej piosenki (widocznie i jemu to zbrzydło):

Kostiuszkin mat',

<sup>21</sup> *pejsy* – długie pasma włosów na skroniach, zwieszające się przed uszami, noszone przez ortodoksyjnych Żydów. [przypis tłumacza]

<sup>22</sup> *chasydzi* – spolszczone *chasidim* (hebr.), dosłownie: „pobożni”, nazwa zwolenników chasydyzmu, ruchu religijnego, który powstał w Polsce w drugiej połowie XVIII stulecia, a którego założycielem był rabi Israel Baal Szem Tow (1700–1760). Chasydyzm przeciwstawiał się rabinicznemu judaizmowi, kładąc nacisk na osobistą modlitwę. Mistyczne zjednoczenie z Bogiem miały zapewnić ekstatyczne śpiewy i tańce. [przypis tłumacza]

Sobirałaś  
Pomirat',  
Pomirat', pomirat'.

– *Szolem alejchem*<sup>23</sup>! Witajcie – odzywa się nagle jakiś nowy osobnik. Zdawało się, że spadł z nieba. – Skąd i dokąd to zmierzają Żydzi? A dlaczego wpakowaliście się akurat do wagonu z tymi oto? Przyjdźcie do nas, do naszego wagonu. Tam przynajmniej będziecie wśród naszych, wśród swoich.

---

<sup>23</sup> *szolem alejchem* – dosł.: „pokój z wami”; przywitanie u Żydów. [przypis tłumacza]

## Rozdział VIII. Kasrylewka wśród „swoich”

Jak ryba dopiero co złapana w sieć i wypuszczona z powrotem do wody, tak poczuli się nasi delegaci, gdy tylko przenieśli się do innego wagonu, w którym znaleźli się wśród „swoich”, wśród Żydów. Trudno powiedzieć, aby na nowym miejscu było czyściej lub schludniej. Być może, że było im tam nawet gorzej, albowiem w poprzednim wagonie tłum w swojej większości siedział na podłodze i nie miał zbyt dużo tobołów. Każdy miał po jednej torbie i parze butów. Ot i wszystko. Tu zaś, wśród Żydów, gwar był niepomniernie większy. Ciasnota też. Tobołów zaś tyle, że nie było gdzie szpilki wetknąć.

Powszechnie wiadomo, że każdy Żyd zabiera z sobą w podróż po dwa, a nawet trzy pakunki. A kobiety poza zwykłymi pakunkami zabierają z sobą również poduszki, kołdry i przeróżne szmaty, których nie zliczysz. W drodze Żydzi wyglądają przeto nie tylko na pasażerów. Wyglądają na wędrowców, na emigrantów, którzy wybierają się gdzieś do dalekich krajów, w których za żadne pieniądze nie można dostać ani poduszek, ani kołder, ani szmat. Dlatego też czują się wszędzie jak u siebie w domu.

Żydzi, dokąd by się nie udali, zabierają ze sobą, ku chwale Boga, swój dom rodzinny, swoje getto, swoją diasporę. Dlatego chyba zawsze i wszędzie zachowują swoje właściwe i jedyne oblicze. Nie zmieniają się tak szybko. Czują się dobrze tylko wtedy, gdy są razem. A świat idzie im na rękę. Chcecie być razem, no to bądźcie...

Po wejściu do nowego wagonu, skoro tylko zauważyli, iż są wśród swoich, rozłożyli się niczym u własnego ojca w Winnicy. Położyli swoje toboły na tobołach innych Żydów, rozsiedli się wśród nich, nie zważając na ciasnotę. Nie omieszkali poprosić ich o zrobienie miejsca. Nawet zrobili uwagę, iż nic nie szkodzi, jeśli tamci się trochę posuną. Co zresztą szkodzi, iż nawet niektórych z nich stąd usuną? Przecież są między swoimi, między Żydami.

Nie martwcie się. Nie będzie, uchowaj Bóg, żadnej kłótni. Nikt nie będzie nikogo beształ z powodu takiego głupstwa. Co innego przygadywanie do słuchu. Tych rzeczy się nie zabrania. To i owszem. Na przykład ktoś następuje komuś na nogę. Poszkodowany zrywa się i rzuca, ale tak jakby mimochodem:

– Ależ ma pan, za przeproszeniem, nóżkę!

Albo ktoś kładzie komuś walizkę niemal na plecy. Właściciel pleców zaczyna kpić nie ze sprawcy, ale z walizki. Spod nosa rzuca uwagę:

– Zdaje mi się, że pańska walizka nigdy chyba nie chorowała.

Gdy ktoś zasłania komuś światło, ten powiada:

– Wie pan, co panu powiem? Obawiam się, że pan nie jest ze szkła...

A jeśli mimo to zdarzy się, że dwóch Żydów będzie toczyło spór o miejsce, to wtedy posypie się grad dowcipów i docinków:

– Wujku, pan wybaczy, ale miejsce jest moje!

– Doprawdy? A z czego to wynika?

– Bo ja tu siedziałem.

– To co z tego? Czy pan na tym miejscu sobotę odprawił?

– A czy tu napisane jest, że to miejsce należy do...?

Zajmujący to miejsce nie leni się. Wstaje i faktycznie szuka owego napisu. Wśród obecnych wybucha śmiech. Stojący czuje się obrażony i odzywa się do siedzącego:

– Pan, zdaje się, przebrał trochę miarę.

– Przebrał miarę? – odzywa się siedzący, a śmiech rośnie i potężnieje. Gdy śmiech się przeciąga, znajdują radę. Ścieśniają się trochę, przesuwają się nieco i jest miejsce dla stojącego. Mój Ty Boże, siedzi tu, bez uroku, tylu Żydów, to niech sobie posiedzi jeszcze jeden. Ci, którzy toczyli spór i

wymieniali docinki, przez chwilę jeszcze się dąsają na siebie, ale wnet wyciągają zegarki: – Która to godzina na pańskim zegarku?

– A na pańskim?

Zaczynają też wyglądać przez okno.

– Co to za stacja?

– Nie wie pan?

Wdają się w rozmowę o stacjach, kolei i interesach. Rozmowa toczy się wartko i gładko. Nowy przybysz, widząc zatopionych w rozmowie, jest przekonany, że to niechybnie dwaj współnicy, bliscy krewni, albo wręcz bardzo dobrzy przyjaciele z jednego miasta.

Niechaj tam różni mędrzy dowcipkują, ile dusza zapragnie. Niech sobie wymyślają różnego rodzaju aforyzmy i porzekadła, jak na przykład: „Siedzieć to tylko między gojami – leżeć tylko między Żydami”, albo: „Z Żydem dobrze jest tylko kugel<sup>24</sup> jeść” itd. Ja mam swoje zdanie. Żydzi, a szczególnie Żydzi z Kasrylewki, czują się wśród swoich znacznie lepiej, bardziej swojsko, aniżeli wśród obcych.

---

<sup>24</sup> *kugel* – rodzaj leguminy, przysmak podawany jako deser po obiedzie sobotnim. [przypis tłumacza]

## Rozdział IX. O „Żydzie, co to...”

Osobnik, który spadł naszym delegatom z nieba i przetransportował ich do swego wagonu, należał do owych rzadkich indywiduów, które spotkać można tylko w podróży. Przy pierwszym zetknięciu jesteś już jego przyjacielem, zdaje się, że znacie się od lat. Ale kto to jest, nie wiesz. Kim jest, też nie wiesz. Z równą dozą słuszności możesz uważać go za Żyda, za kramarza lub za faktora<sup>25</sup> giełdowego. Najprawdopodobniej jednak jest krawcem, albo też osobą znaczącą u *naczelstwa*. Kręci się zapewne koło spraw związanych z udzielaniem zezwoleń na „prawo osiedlenia”.

Średniego wzrostu i średniej postury. Czarny, o odcieniu właściwym dla Ormian. Czarna, mała bródka. Oczy również czarne – niespokojne. Kapelusik zsunięty do tyłu. Ruchliwy, żywy, nie mogący usiedzieć w miejscu. Żądny czynu. Przymus robienia czegokolwiek pcha go do pracy, do stałego ruchu, do rozmów z ludźmi. Zwłaszcza do tych ostatnich. Rozmowa to jego żywioł. Jeśli w wagonie spotka Żyda, to jego wygrana. A jak nie ma Żyda, to też dobrze. Rozmawia z gojem, z żołnierzem, z dziedziczką, z księdzem. Z braku laku dobry będzie i konduktor, palacz lub robotnik smarujący koła wagonu. Byle zresztą kto, niechby nim był sam diabeł, aby tylko miał postać człowieka. A siły ma niespożyte. Potrafi każdego skłonić do mówienia. Chyba, że natrafi na niemego od urodzenia. Doskonale bowiem wie, jak, z kim i od czego zacząć rozmowę.

A rozmawiać z wami potrafi na każdy temat. O czym tylko zechcecie. Można powiedzieć, że nie ma prawie takiej rzeczy na świecie, o której nie byłby w stanie mówić, o której by nie miał pojęcia. Nie ma też chyba człowieka na świecie, którego by nie znał. Z takim człowiekiem siedzieć w jednym wagonie to największa przyjemność. Przy tym wszystkim jest z natury dobrym człowiekiem. Jest szczery, otwarty i przystępny. Może was pierwszy raz w życiu na oczy zobaczyć i już gotów jest pójść tam, dokąd zechcecie. Może chcecie pójść po bilety do kasy? A może chcecie, aby wam pomógł spakować rzeczy? Proszę bardzo! Z największą przyjemnością. Przy tej okazji zajrzy wam do walizki. Oceni i wyceni, ile jest warta wasza walizka, wasz kozuch, albo zegarek, który nosicie. Obliczy też dokładnie i powie co do minuty, o której to godzinie będziecie w domu. Powie też, ile będzie kosztował bagaż. Udzieli rady, jaką trasę powinniście wybrać, i gdzie się zatrzymać. W czasie udzielania tych rad będzie was trzymał za guzik, albo wiercił palcem dziurkę. Kapelusik jeszcze bardziej zsunie mu się do tyłu, oczy nabiorą ognistego blasku. Odniesiecie wrażenie, że wykonuje jakieś bardzo pożyteczne zajęcie. Słowem, był to taki facet, o którym u nas się mówi:

– „Żyd, co to...”

Dla naszych kasrylewskich pasażerów ten „Żyd, co to...” był, można powiedzieć, oazą na pustyni, lekarstwem w chorobie, szpikiem dla kości. Okazją nie byle jaką. Wypełniali przecież poważną misję. Pierwszy raz w życiu mieli być w obcym i w dodatku tak wielkim mieście. W mieście, którego nawet we śnie nie widziały ich babcie i dziadkowie. Nie mają pojęcia, jak stąpać po takim mieście, jakie drzwi otwierać. A do tego dźwigają na swoich barkach brzemień takiej świętej sprawy. Nasz facet również ucieszył się ze spotkania z delegatami Kasrylewki. Dowiedziawszy się, do kogo i z czym wybrali się w drogę, zasypał ich gradem porad. O tym, jak mają postępować od pierwszej chwili, począwszy od przybycia na dworzec, aż do celu ich podróży. A wybrańcy Kasrylewki nie odrywali od niego wzroku, przytakiwali mu nieustannie i chłonęli każde jego słowo.

– Wybraliście się, moi kochani Żydzi – perorował im czule jak ojciec, uśmiechając się i gładząc bez przerwy swoją bródkę – wyprawiliście się, moi kochani, w bardzo ważnej sprawie. Można nawet dodać, że w świętej sprawie. Oby wasza wyprawa zakończyła się sukcesem. Co do tego jestem przekonany. Jestem tego pewny, tak jak tego, że dziś na świecie jest wtorek. Najważniejsze, żebyście wiedzieli, co i jak. Miasto jest duże i bardzo rozrzucone. Jest, chcecie mnie dobrze zrozumieć, gojowskie. Ale Żydów w nim nie brakuje. Zwłaszcza bogatych. Co, oczywiście, nie znaczy, że nie ma

<sup>25</sup> *faktor* (daw.) – pośrednik. [przypis edytorski]

tam biednych Żydów. Jest ich nawet sporo. Może nawet więcej niż bogatych. Ale z nimi nie będziecie przecież mieli do czynienia. Biedaków macie dosyć u siebie. Moja więc rada: udajcie się do bogaczy i to do tych największych. A kto to są ci najwięksi? Zapewne chcielibyście wiedzieć? Weźcie więc, za przeproszeniem, kawałek papieru i ołówek, i zapisujcie. Podaję nazwiska i adresy, jak również dokładne dane o społecznym pochodzeniu i zasługach każdego. Ja ich, zrozumcie, znam osobiście i jestem z nimi w najlepszej komitywie. Za pan brat. To wielcy potentaci. A każdy z nich chciałby drugiego prześcignąć, przeskoczyć, połknąć, zjeść z kopytami, gdyby tylko mógł. A każdy pcha się do góry. Stara się naśladować tego prawdziwego, wielkiego potentata, tego lwa wśród zwierząt. Z wyrazu waszych twarzy poznaję, iż wiecie już, kogo mam na myśli... Tak właśnie brzmi jego imię. *Nomen omen*<sup>26</sup>. Zwie się Lejb, czyli Lew. On jest prawdziwym królem, bogaczem pełną gębą, krezusem, potentatem, milionerem. Chcecie zapewne wiedzieć, jaki jest jego majątek. Lepiej nie pytać. Ile byście sobie nie wyobrazili, to on posiada dwa, trzy, dziesięć razy więcej. Można śmiało powiedzieć – pięćdziesiąt milionów. Nie będzie błędem, jeśli powiem – siedemdziesiąt milionów. A jeśli grzecznie mnie poprosicie, to może nawet całe sto. Do niego powinniście dotrzeć pod sam koniec, gdy już będziecie po wizytach u pozostałych „wielkich”. Przecież zależy wam na grubszej forsie, na pokaźnej darowiznie. A pokaźna darowizna to tylko u niego. Jeśli natraficie na sprzyjający moment, to sprawa z głowy. U niego tysiąc, pięćdziesiąt czy sto tysięcy to tyle, co splunąć. Albo poczekajcie chwileczkę, mam pomysł. Dam wam lepszą radę.

Tu nasz „Żyd, co to...” pogrążył się w myślach. Poskubał się w bródkę, po czym z miną człowieka, któremu wpadł do głowy szczęśliwy pomysł, odezwał się:

– Posłuchajcie, moi kochani Żydzi, tego, co wam powiem. Powiadacie, że wasze miasteczko poszło z dymem. Z tego wniosek, że potrzebny wam jest budulec – drzewo. Właśnie niedaleko waszej miejscowości ten bogacz posiada las, jak to się u nas mówi, las z drzewem. Dla takiego milionera jak on, to fraszka wypisać kwit do lasu. Tekst kwitu po hebrajsku brzmiałby tak: „Proszę wydać na mój rachunek...”

I „Żyd, co to...” wykonuje w powietrzu znak ręką, jakby to uczynił bogacz piórem. Nasi kasrylewscy delegaci, słysząc te słowa, zrywają się ze swoich miejsc, a w ich oczach pojawiają się łzy. W tym momencie jednak „Żyd, co to...” ściąga ich na ziemię. Doszedł widocznie do wniosku, że nieco przeholował, że natchnął ich zbyt wielką nadzieją. Znowu się poskrobał w bródkę i tak do nich rzekł:

– Muszę jednak, drodzy moi Żydzi, raz jeszcze wam powtórzyć, że wszystko zależy od momentu, od sprzyjającej chwili, na jaką natraficie. Jeśli, nie daj Bóg, wstał on lewą nogą, to wam nie zazdrozczę. On należy do ludzi, na których wszyscy patrzą. On, rozumiecie, jest taki wielki bogacz, taki potentat. On, jak powiadacie po hebrajsku: „I co taki potrafi zrobić?” Oczywiście, gdybyście nie byli Żydami, to ho, ho!

Przy tych słowach wśród Żydów z Kasrylewki nastąpiło zamieszanie. Nie mogli zrozumieć, co miał na myśli. Co to znaczy, gdyby nie byli Żydami? A kim mieli być? Hermafrodytami<sup>27</sup>? „Żyd, co to...” zorientował się, że go nie zrozumieli. Zaczął wtedy wyjaśniać.

– Zrozumcie, moi kochani, że człowiek, o którym mówię, jest wielkim, jest prawdziwym potentatem. Cieszy się ogromnym mirem<sup>28</sup> wśród chrześcijan. Generałowie przychodzą do jego domu. Siedzą tam z nim przy jednym stole. Tak, jak ja tu z wami. A skoro, jak widzicie, chrześcijanie są z Żydem w takiej komitywie, to jasne, że się za nich wstawi.

Nie można się upierać przy tym, że ten komentarz był dla naszych kasrylewskich delegatów całkiem jasny. Nie przestawali głaskać swoich bród i nie ustawali w peanach na cześć wielkich i bogatych. Wczytywali z listy wszystkich wielkich i mniejszych potentatów. Wymieniali ich

<sup>26</sup> *Nomen omen* (z łac.) – imię znaczące, stanowiące proroctwo. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *hermafrodyta* – obojnak, osoba posiadająca zarówno męskie, jak i żeńskie organy płciowe. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *mir* – szacunek, poważanie. [przypis edytorski]

nazwiska, przytaczali adresy. Przy każdym wymienionym bogaczu dołączali krótką charakterystykę. Z tych charakterystyk mogłaby powstać oddzielna książka, gdybyśmy to uznali za sprawę najważniejszą. A że za najważniejszą uważamy sprawę kasrylewskich pogorzalców, przeto wracamy do nich w momencie, gdy znajdują się w wielkim nieżydowskim mieście, tam, gdzie zostawiliśmy ich na samym początku ich świętej misji.

## Rozdział X. W świecie chaosu i zamętu

Wielkie miasto ze swoimi „wielkimi” wydało się naszym kasrylewskim wybrańcom światem chaosu i zamętu, znanym im z biblijnego opisu. Zgodnie z nim istota pojęcia „świat zamętu” polega na tym, że dusza ludzka błądzi i unosi się po świecie, wdzierając się do wszystkich jego zakamarków, widzi, słyszy i czuje wszystko. Jednak ciało nie bierze w tym udziału. Nie ma go. Może to z powodu wielkiego podniecenia, wywołanego opowiadaniem tego „Żyda, co to” w wagonie, a może dlatego, że po raz pierwszy w życiu znaleźli się w tak wielkim mieście, nasi delegaci oderwali się od ziemskiego świata. Błądzili w zaświatach. Ich dusza błąkała się już wśród tych „wielkich”, natomiast ciało pozostało daleko od niej, nie wiadomo gdzie.

Od pierwszej chwili sprawa ułożyła się nie tak, jak należy. Nie tak, jak to sobie wyobrażali. I to pomimo, że postępowali zgodnie ze wskazówkami i systemem zalecanym przez owego faceta o płonących oczach z pociągu. Kierowali się podanymi przez niego nazwiskami, ulicami i numerami domów. Najpierw zapukali do drzwi pomniejszych „wielkich”, następnie do większych „wielkich”. Za każdym razem wspinali się coraz wyżej i wyżej. Nie można powiedzieć, że im się nie wiodło. Posypały się nawet datki. „Istny grad datków posypał się na nas” – chwalili się potem przed mieszkańcami Kasrylewki. Czy tak w istocie było, tego nie wiemy. Jedno jest pewne. W Kasrylewce do takich datków nie byli przyzwyczajeni. Takich sum w życiu nie widzieli. A jeżeli już, to we śnie i to nieczęsto. A jednak coś ich bolało. Wydawało im się, że nie są wśród swoich. Czuli się jak obcy. Przyjmowano ich chłodno. Wręczano datek i „przepraszam, do widzenia”. Byli tacy, którzy nie chcieli ich widzieć na oczy. Jałmużny udzielali „państwo” nie puściwszy ich za próg. Inni znów byli po prostu źli. Nie dopuszczali ich do słowa. Krótko załatwiali sprawę: „Co? Spaliliście się? Zwyczajna rzecz. Nie jesteście wyjątkiem”.

Znaleźli się i tacy, którzy krzyczeli na nich i wyzywali od najgorszych, używając epitetów w rodzaju „pogorzelnicy”, „żebracy”. Jakiś młodzieniec o bladej twarzy, spiczastym nosie i podwójnej bródce, zaczesanej z przedziałką pośrodku, kazał sobie pokazać książkę.

– Jaką książkę?

– Książkę, w której zapisane są otrzymane datki.

Wtedy wystąpił już sam reb Juzipl:

– Datki, które otrzymujemy dla pogorzelników, zapisane są w takim języku i takim piśmie, którego ani wy, ani nawet my nie potrafimy odczytać...

Tym razem reb Juzipl mówił w sposób zawołany. Uśmiechał się jak zwykle, ale w jego głosie wyczuwało się rozdrażnienie. I nie chodziło mu o to, że ich niesłusznie posądzają. Bolał go chłód, który napotykali wszędzie, chłodne przyjęcie doznawane u każdego z owych „wielkich”. Reb Juzipl przyzwyczajony był do tego, że w Kasrylewce każdy Żyd, który ofiarowywał jałmużnę, a mógł to być nędzny grosz lub nawet pół grosza, dawał ją z całego serca. Albowiem poza tym, że wspierał człowieka w potrzebie, że ulżył biedakowi, czuł, że dokonuje zbożnego czynu. Reb Juzipla szczególnie zdziwił fakt, że nie znalazł się wśród tych wszystkich „wielkich” nikt, kto by ich przywitał prostym, ciepłym swojskim żydowskim powitaniem: *Szolem alejchem*. Nikt nie raczył nawet zapytać o Kasrylewkę, nie chciał wysłuchać ich serdecznej relacji o nieszczęściu, które ją spotkało. Gdy tylko któryś z delegatów zaczynał opowiadać o katastrofalnym pożarze, jaki przeżyli, bogacz natychmiast otwierał sakiewkę. Łatwo się domyślić, że chciał przez to powiedzieć: „Macie swoje i idźcie z Bogiem”.

Reb Juzipl, który zawsze zwykł bronić każdego człowieka i w tym wypadku szukał dla „wielkich” jakiegoś usprawiedliwienia.

– Ludzie po prostu żyją w świecie chaosu i zamętu!

Tak sobie myślał i dziarsko, pewnym krokiem szedł dalej. Był to chód mocny i szybki, nieproporcjonalny do jego wieku. Był już wieczór, gdy nasi delegaci z Kasrylewki dotarli do samego

największego z „wielkich”, do „lwa wśród zwierząt”, jak go nazywał facet z pociągu. I tu sobie przypomnieli jego słowa: „Gdyby nie byli Żydami – to och! och!”

To „och, och” i chłód, jaki napotykali wszędzie, osłabiły ich początkową odwagę. Przed zapukaniem do drzwi w serca wkradł się niepokój. Za nimi był przecież „lew wśród zwierząt”. Przez dłuższą chwilę stali pod drzwiami i dyskutowali, czy zadzwonić tak, jak dzwonili dotychczas w poprzednich domach, czy też może...?

– Co „może”?

– Nic!

– Czemu więc powiada pan „może”?

– A kto mówi „może”?

– Jeśli pan nie mówi „może”, to dlaczego nie dzwoni?

– A gdzie to jest napisane, że ja? A czemu nie pan?

– Zaczyna się historia z Żydem!

– Sza dzieci! Spokój! – reb Juzipl przerywa spór i naciska dzwonek w drzwiach. Naciska powoli, ledwo, ledwo. Na tyle, na ile pozwala mu jego osiemdziesiąt lat.

## Rozdział XI. Za wysokimi progami

Stojąc pod drzwiami największego spośród „wielkich”, przed siedzibą „lwa wśród zwierząt”, nasi delegaci z Kasrylewki mieli okazję pomedytować trochę nad „wysokimi progami”. Co się tam może dzieć? Czym się właściwie zajmują „wielcy” w swoich apartamentach w chwili, gdy za ich drzwiami stoją „maluczcy” ze swoimi małymi sprawami, małymi interesami, prośbami, planami i marzeniami? Może właśnie w tej chwili pochylają się nad buchalteryjnymi księgami<sup>29</sup> swoich wielkich przedsiębiorstw, łamią sobie nad nimi głowy i tak są tym zaprzątnięci, że nie mają pojęcia, co się dzieje na dole? A może wiedzą i rozmyślają, jak i co robić, aby naprawić zło tego świata za pomocą złota, którym Bóg ich obdarzył dla dobra swego narodu, albo nawet całej ludzkości? Albo może ot, tak zwyczajnie sobie siedzą, korzystając po prostu z uciech tego świata. Jedzą, piją i śpią jak zwykli, zwyczajni ludzie?

Czasu do medytowania nasi delegaci mieli sporo. Po słabym dźwięku dzwonka poruszonego przez starego reb Juzipla nikt nie pokwapił się, by otworzyć drzwi. Mieli czas przedyskutować, kto z nich miałby przemawiać, jak mają się przedstawić temu „największemu z wielkich”. Rzecz jasna, że przemawiać powinien rabin Juzipl. Nikt inny nie wchodził w rachubę. Pozostało tylko ustalić, jak ma zacząć rozmowę. Według tego, co im facet z pociągu nagadał i nastraszył, trzeba było dobrze wiedzieć, jak z nim postępować i co mówić. Nieprzypadkowo w księgach napisano: „Życie i śmierć w mocy języka.” A morał zawarty w tych słowach jest taki: jednym, jedynym słowem można czasem zepsuć tyle, że nie naprawisz tego za pomocą nawet tysięcy słów.

Poglądy na tę sprawę podzieliły kasrylewian na dwa obozy. Na prawicę i na lewicę. Prawica, do której należeli starsi wiekiem delegaci, wybrała drogę prawą, czyli, jej zdaniem, drogę słuszną. Twierdziła, że do bogacza trzeba przyjść z błagalną modlitwą. Należy przed nim odmalować katastrofę Kasrylewki w najdrobniejszych szczegółach. Mniej więcej w taki oto sposób:

– Dopiero niedawno istniało miasto. Miasto jak wszystkie inne miasta. I oto nagle w nocy zerwał się gwałtowny wiatr. Wiatr zmieszany z ogniem. A ogień zesłany został przez Boga. I poszło z dymem całe miasto. I starta została Kasrylewka z powierzchni ziemi.

Nie należy przy tym żałować ciemnych barw przy odmalowywaniu obrazu bosych, nagich i głodujących pogorzalców, koczujących pod gołym niebem. Jak najtragiczniej trzeba przedstawić niedolę tych ludzi, wyciągających ręce po kawałek chleba, cierpiących i płaczących. Nie zaszkodzi przy tym samemu porządnie rozplakać się. Dlaczegoż by nie?

Młodzi, należący oczywiście do lewicy, twierdzili wręcz odwrotnie:

– Po jakie lichy potrzebny tu płacz? Ni w pięć, ni w dziewięć. Co to? Baby jesteście? Czyżbyście myśleli, że bogacze czuli są na lzy? Ich trzeba wziąć na sprawiedliwość, na prawo moralne. „Czyż godzi się – należy postawić im pytanie – aby w tym samym czasie, gdy tu złoto leży na ulicy a ludzie pędzą próżniaczy żywot, obojętni na wszystko, nasi bracia z krwi i kości umierali tam z głodu?”

– Oj, biada! – starsi złapali się za głowy. – Ani chybił, utną nam głowy i to bez noża. Tak to, młodzi panowie.

Szczęście, że był reb Juzipl. Uspokoił ich szybko. Jego cicho wypowiedziane słowa jak zwykle poskutkowały.

– Dzieci moje – powiedział – daremny wasz spór. Czy człowiek, istota z natury słaba, może z góry wiedzieć to, co ma powiedzieć? Czyż nawet ów zły i przewrotny Bilam z Biblii, przekupiony po to, aby rzucać oszczerstwa i przeklinać Żydów, zdawał sobie sprawę, że Bóg Wszechmogący popłacze mu słowa i przewróci je do góry nogami? Zdobędziemy go nie błagalną modlitwą, nie powoływaniem się na sprawiedliwość, ale bajką z morałem. Jeśli Bóg rozkaże, to opowiem mu, dla przykładu, bajkę o królu, który w porywie gniewu na swoje sługi kazał spalić własny pałac...

<sup>29</sup> księga buchalteryjna – księga rachunkowa. [przypis edytorski]

Szkoda, że ta historyjka z morałem została przerwana w samym środku. Nie z winy reb Juzipla, ani też któregoś z pozostałych wybrańców. Sprawił to osobnik zupełnie postronny. Był to ów stwór, o którym pisałem na samym początku, w pierwszym rozdziale. Prawdopodobnie ten „gliniarz”, którego postawiono na ulicy dla utrzymania porządku, miał na oku naszych delegatów. Nie spodobała mu się ta chodząca od domu do domu grupa, zatrzymująca się przed każdym wywieszonym numerem, która, lustrując dom od zewnątrz, zaczynała głośno dyskutować. Gdy przed ostatnim domem zaczęli naraz gdakać jak gęsi, policjant nie wytrzymał i puścił się w ich kierunku. Tym razem z większym impetem i z większą werwą.

Spostrzegłszy przed sobą wroga i wyczuwając grożące z jego strony niebezpieczeństwo, nasi delegaci zamarli ze strachu. Jak jeden mąż postanowili wziąć nogi za pas. Powstało jednak pytanie – dokąd? Cofnąć się oznaczało wpaść wprost na gliniarza. Dlatego też ze wszystkich sił zaczęli dobijać się do drzwi, dzwonić i dzwonić. I Bóg przyszedł z pomocą. Drzwi, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, otworzyły się. Pojawił się w nich jakiś facet o czerwonej, dobrze spasionej gębie. Ubrany był w garnitur z wyciętymi połami, a na rękach miał białe rękawiczki. Kipiał gniewem, wymachiwał rękami, krzyczał i przeklinał. Zachowywał się tak, jakby przed sobą miał dzikich ludzi, bandytów, chuliganów, którzy w biały dzień zamierzali dokonać napadu na dom jego pana.

Zobaczywszy przed sobą otwarte drzwi nasi „chuligani” z Kasrylewki dali w nie nura. Jednak facet o czerwonej i spasionej gębie, natężywszy wszystkie swoje siły, wypchnął ich z powrotem. W tej samej chwili zjawił się „gliniarz” z szablą u boku. Mocno zagwizdał i natychmiast jakby spod ziemi wyrósł jeszcze jeden policjant, również uzbrojony od stóp do głowy.

Daremne były prośby naszych wybrańców, aby ich wpuścił do środka. Choćby tylko za próg. Choćby nawet do kuchni. Na próżno podnosili wzrok ku oknom za „wysokimi progami”. A nuż zdarzy się cud? Jak Bóg chce, to i cuda się zdarzają. A nuż bogacz we własnej osobie, albo ktoś z jego rodziny, ich zauważy, zobaczy, że Żydzi znajdują się w niebezpieczeństwie i wtedy wyda polecenie, aby ich nie tknięto.

Nie mieli jednak szczęścia. Nikt z za „wysokich progów” nie wyjrzał przez okno i ich nie dostrzegł. Nasi delegaci, najbardziej reprezentatywni gospodarze Kasrylewki z reb Juziple na czele, zostali z wielkimi honorami zaprowadzeni do takiego *locum*, za które nie płaci się komornego i w którym wszyscy są na równych prawach. Nawet Żydzi z Kasrylewki mogą tam sobie siedzieć i siedzieć. Przez długie lata.

## Rozdział XII. Cud

Ten, kto myśli, że w obecnych czasach nie zdarzają się cuda, myli się głęboko. Prawda, że cuda zdarzają się dziś rzadko, ale wydarzenie z aresztowanymi delegatami z Kasrylewki zaiste należy do nich zaliczyć.

Czytelnik może sobie uroić, że jako pisarz z pewnością przesadzam, że wymyślam niestworzone historie. Śpieszę tedy zapewnić, iż wszystko, co opisuję, jest czystą prawdą. Właśnie w chwili, gdy pod drzwiami bogacza, tego „lwa wśród zwierząt”, zaistniał incydent z kasrylewskimi delegatami, akurat w momencie, gdy w trwodze i strachu spojierali na okna jego rezydencji i powtarzali w duchu znany werset hebrajski: „Skąd przyjdzie pomoc? Czy będzie to pomoc boska czy też ludzka?”, przechodził tamtędy nasz znajomy z pociągu, ten „Żyd, co to...”

Szedł, by załatwić własne sprawy. Szedł jak zwykle szybko, z kapeluszem zsuniętym do tyłu, cały pogrążony w myślach. Zauważywszy swoich znajomych Żydów otoczonych policjantami, zatrzymał się. Wyczuł pismo nosem. Zrozumiał, co się święci. Już gotów był wskoczyć w sam środek i wywołać skandal. Już miał zawołać: „Dlaczego? Z jakiego powodu! Bogu ducha winni...”

Wkrótce się jednak zmytygował. A może nie tak powinien postąpić? Zbyt dobrze siebie znał. Był w gorącej wodzie kąpany. Kto wie, jakie słowa mogą mu się wyrwać. Zdał sobie sprawę, że z mocnymi niedobrze jest zadzierać. Zawsze to jednak lepiej należycie rozważyć sprawę. Jeszcze bardziej zsunął kapelusik do tyłu, schwycił się za bródkę, przyklnął oko na znak, że główka pracuje, zawrócił i tym samym jak dotychczas szybkim krokiem wycofał się. Tak postępuje człowiek, który wpadł na dobry pomysł i postanowił ten pomysł doprowadzić do końca.

A dokąd też mógł się udać?

Sam nie wiem, dokąd. Przypuszczam, że udał się do „lwa wśród zwierząt”, albowiem jeszcze tej samej nocy rozdzwonił się telefon za „wysokimi progami”. Dzwonił długo.

I w policji zakotłowało się. Skrzypiały pióra, lał się atrament, papiery zostały zapisane, a aresztowani, którzy szykowali się już do dalekiej drogi „etapem”, zostali nagle w środku nocy obudzeni. Wyrwano ich z ciemności i wprowadzono do jasności. A dokonano tego w bardzo szybkim tempie, jakby wcale nie byli małymi, nic nie znaczącymi ludźmi z Kasrylewki, ale Bóg wie kim. Prawda, że krzesel im nie podstawiono, usiąść nie prosili. Cóż dopiero mówić o przeprosinach. Za to nikt nie słyszał, broń Boże, aby ktoś na nich krzyknął: „Żydzi!” Wręcz przeciwnie. Cicho, elegancko, aczkolwiek na chybicka, nastąpiło uwolnienie kasrylewskich „chuliganów”. Łudząco przypominało to wyjście Żydów z Egiptu. Pomniejsi pisarze i pismacy nie mogli się nadziwić temu, co się zdarzyło. Z powodu takich Żydlaków – tyle zamieszania.

W pierwszej chwili, gdy otwarto cele i powiedziano im, aby pofatygowali się na górę, nasi aresztanci, wymieniając spojrzenia, zaczęli po cichu się żegnać. Nie padło przy tym ani jedno słowo. Co ich mogło czekać tam na górze? O tym tylko Pan Bóg w niebie mógł wiedzieć. Oby wszystko skończyło się tylko na więzieniu. A czym w obecnych czasach jest więzienie, skoro szubienica jest na porządku dziennym? Ale to jeszcze nie wszystko. Każdy Żyd ma żonę i dzieci, a jeśli rzecz się tyczy żony i dzieci, to Żydzi (a musimy się do tego przyznać) są strasznymi egoistami.

Na chwiejnych nogach z sercem przepelnionym strachem i rozpaczą stanęli nasi delegaci przed tymi, w których rękach spoczywał ich los. Tylko jeden szedł naprzód dziarskim, mocnym krokiem, mimo że zmuszony był opierać się o laskę. Był to staruszek, reb Juzipl.

– Kto wśród was jest samym panem rabinem?

Pytanie zadane zostało na pół serio, na pół drwiąco.

– To ja – odpowiedział reb Juzipl z jakąś niezwykłą siłą w głosie. Wystąpił naprzód, gotów ponieść wszystkie ofiary. Tak, jakby sam jeden chciał wziąć na siebie oszczercze brzemię i iść na szafot za wszystkich swoich Żydów.

Wspaniały, wprost cudowny, był w tej chwili ten osiemdziesięcioletni starzec. Jego żółta, pomarszczona, delikatnie przezroczysta twarz jaśniała pełnym blaskiem. Zdawało się, że otacza ją aureola. W jego starych oczach zapalił się młodzieńczy ognik. Tylko ręce mu się trzęsły i drżały ramiona.

Czekał na to, co mu powiedzą. Był gotów wysłuchać wszystkiego najgorszego, co tylko źli i okrutni ludzie mogą wymyślić. Kogo słucha ten starzec, dźwigający na swoich barkach osiemdziesiąt lat? Założył ręce do tyłu i patrzył im prosto w oczy. W jego postawie i spojrzeniu była wielkość i zuchwałość. Czegoś takiego śmiertelnie przerażeni delegaci z Kasrylewki na twarzy swego rabina nigdy nie widzieli.

Była to wzniosła chwila, która trwała bardzo długo. Może nawet całą wieczność.

– To ty jesteś więc owym rabinem?

Słowa zostały wypowiedziane znowu na pół serio i na pół drwiąco.

– Oto masz z powrotem pieniądze, które zebraliście dla swoich braci pogorzalców. Zabierzcie swoje serdaki (mieli na myśli tałesy i tefiliny) i swoje pończochy (tu widocznie chodziło o ich parasole) i jazda pociągiem do domu! Do rana żeby nam tu śladu po was nie było! Marsz!

Po powrocie do domu nasi wybrańcy mieli co opowiadać. Niemało przydarzyło im się cudów w drodze. Niemało przeszli ciężkich prób z powodu pogorzalców. Opowiadali o podróży, o samej jeździe i o tym, co było po przyjeździe. O tym, o czym rozmawiali i o tym, co widzieli. O datkach, które hojnie się posypały. O prawdziwym niemal potopie datków i darowizn (najpierw był tylko deszcz datków, teraz już był potop). I o tym, jak ich aresztowano przed „wysokimi progami” i zaprowadzono do takiego „wspaniałego przybytku”, zabrano pieniądze i wsadzono do „kozy”. I wreszcie o cudzie. O tym, jak Pan Bóg pokazał, co potrafi. Jak zwolnili ich i zebrane pieniądze zwrócili co do grosza. Co więcej, dorzucili im jeszcze coś na dodatek. Gdy byli już gotowi do drogi powrotnej, dopędził ich jakiś człowiek w wysokim kapeluszu i wręczył okazałą sumę. Był to datek na rzecz pogorzalców z Kasrylewki od owego „wielkiego”, którego facet z pociągu nazywał „lwem wśród zwierząt”. No i niech ktoś powie, że nie ma Boga na świecie!

Słowem, nasi delegaci mieli co opowiadać. Starczy im na niejedno opowiadanie. Sądzę, że wystarczy im na całą zimę. A być może pozostanie jeszcze trochę i na lato.

Tylko reb Juzipl nie zabierał głosu. Nabrał wody w usta. Wrócił z podróży zmęczony. Nie w sensie cielesnym. Był załamany duchowo. W dodatku był zajęty sobą. Przygotowywał się do innej podróży. Wybierał się w drogę, z której nikt jeszcze nie wrócił. Nie sądzicie, że reb Juzipl, mimo że był rabinem i miał już ponad osiemdziesiątkę, mimo że był człowiekiem samotnym, bez dzieci i rodziny, nie miał nic do roboty w momencie, gdy miał zejść z tego grzesznego świata.

# Nowa Kasrylewka

## Wstęp

W ostatnim czasie zaczęły ukazywać się na świecie rozmaite opisy miast i krajów oraz różne inne pożyteczne książki. Pomyślałem sobie: wszędzie i we wszystkim naśladujemy innych. Inni mają gazety, mamy i my. Oni mają Nowy Rok i my też mamy Nowy Rok. Oni mają choinkę i my mamy choinkę. Oni mają książki *Cała Moskwa*, *Cały Petersburg*, *Cały Berlin*, *Cały Paryż*, to dlaczego my nie mielibyśmy mieć książki *Cała Kasrylewka*?

A ja, Szolem Alejchem, sam urodzony w Kasrylewce, niedawno temu udałem się tam na groby moich rodziców i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób mógłbym się odwdzińczyć moim braciom i siostram za ich gościnność. Chyba tylko tym, że upamiętnię Kasrylewkę, rozślawiając jej imię w świecie. Miałem przy tym na celu utrwalenie jej bardziej dla dobra ogółu, aniżeli dla własnej korzyści. Niechaj ludzie przybywający do Kasrylewki wiedzą, gdzie mają się zatrzymać, jak najwygodniej do niej dojechać, gdzie można zjeść dobry obiad, wypić kieliszek wina, gdzie można spędzić mile czas, co można zobaczyć w teatrze itp. Różne przyjemności czekają dziś na odwiedzającego to miasto. Kasrylewka bowiem jest zupełnie inna niż dawniej. Wielki postęp zachodzący dziś w świecie wdarł się również do niej. Wywrócił ją do góry nogami. Dlatego też nazwałem ją Nową Kasrylewką.

## Rozdział I. Kasrylewski tramwaj

Do Kasrylewki przyjechałem pociągiem. Chwała Bogu, miasto ma już połączenie kolejowe. Był wczesny jesienny ranek, grubo przed poranną modlitwą. Padał drobny deszcz. Utworzyły się spore kałuże. Już na dworcu dopadła mnie cała chmara domowych sług. Rude brody, rude kapoty. Żółte blaszki na żółtych wyblakłych kaszkietach.

- Wujku! „Grand Hotel”!
- Hotel „Francja”, wujku!
- Wujku! „Portugalia”!
- Wujku! Hotel „Turkalia”!

Udało mi się, przy boskiej pomocy, przemknąć przez ten szpaler cało i zdrowo. Wypadłem jednak na inne bractwo. Byli to bałaguly<sup>30</sup> – furmani w wysokich butach, z batami w rękach. Bractwo o mało mnie nie rozszarpało. Jakiś kościsty młodzieniec siłą wyrwał mi z ręki walizkę. Podniosłem krzyk: „Moje rękopisy! Moje papiery!”. Dwaj pozostali furmani ujęli się za mną. Chcieli mnie wziąć na swoje furmanki. Wybuchła między nimi bójka. Skorzystałem z tego, wyrwałem walizkę, wysliznąłem się z ich rąk i pobiegłem do tramwaju.

– Do mnie braciszkwowie, do mnie! Cała jazda jeden piątek. Piątek od główki. Jadziem aż do ulicy Belfilir. Wszystkiego pięć kopiejek! Jeden Żyd – jeden piątek.

Tak wydziera się ochryptym głosem sam konduktor, młodzieniaszek z rudą bródką. Na szyi zwisa mu torba. Na głowie ma kaszkiet z jakimś guzikiem pośrodku. Obok niego stoi drugi osobnik, Żyd w podartej kapocie i z batem w ręku. Furman „tramwaju”. Obydwaj pokazują mi stojącą w pobliżu, przechyloną na bok budę na kółkach. Jest to niby tramwajowy wagon. Szyby ma wybite. Przy długim dyszlu stoi w zaprzęgu biały konik. Głowę ma opuszczoną i drzemie.

– Ostrożnie – ostrzega mnie konduktor – trzeba uważać, aby nie wpaść w dziurę. W podłodze brak jednej deski. Tramwaj jest w remoncie.

Usadawiam się powoli w wagonie, kładę obok siebie walizkę i czekam. Jest chłodnawo. Dla rozgrzewki uderzam nogą o nogę.

– Konduktorze – zwracam się do młodzieńca – pojedziemy wreszcie, czy też pójdziemy piechotą?

– Jeśli Bóg pozwoli, to przy jego pomocy! – odpowiada mi konduktor.

– Daj mi trochę tytoniu, Josl! – zwraca się do konduktora furman w podartej kapocie i z batem w ręku.

– A machorkę nie łaska, panie Kasriel? – z miejsca odparowuje konduktor Josl. – Dobry tytoń może wam jeszcze zaszkodzić.

– Nie strugaj wariata, smarkaczu jeden! Daj papierosa.

Konduktor i furman skręcają papierosy.

– Kiedy wreszcie pojedziemy? – pytam po raz wtóry konduktora.

– Dzisiaj – odpowiada flegmatycznie i podaje ogień furmanowi.

A ja czekam i czekam. Powoli zaczyna przybywać pasażerów. Najpierw pakuje się do budy Żyd w podartym kożusku. Z wydzielanego przez niego zapachu trudno ustalić, co za zwierzę nosiło to futerko. Na lisa za białe, na kota za czerwone. Po Żydzie w podartym kożusku wchodzi Żyd bez kożuszka. Zmarzył biedaczysko. Rozgląda się na wszystkie strony, wzdycha i szuka wygodnego dla siebie miejsca. Siada wreszcie w kącie przy drzwiach. Po zmarzniętym Żydzie wtaszczył się najpierw koszyk z jabłkami i tuż za nim Żydówka. Jest owinięta w trzy szale, a mimo to widać, że biedaczce jest zimno.

---

<sup>30</sup> *bałagula* – furman. [przypis tłumacza]

– Wiśta! Wio! Reb<sup>31</sup> Kasrielu, *poszo!* – odzywa się konduktor do furmana.

Josl gwizdnął i tramwaj ruszył. Nie zdążył przejechać kilku metrów, gdy zatrzymał się. Drzwiczki „wagonu” otwierają się i ukazują się w nich jakaś głowa.

– Nie ma tu czasem Mojszy?

– Co za Mojsze? – dopytuje się Josl konduktor.

– Pracuje w sklepie żelaznym?

– Tak, w sklepie żelaznym.

– Znam go.

Po tym stwierdzeniu Josl gwizdze i daje znak furmanowi. – Wio! Wiśta! Po... o... szedł!

I jedziemy dalej.

– Bilet – zwraca się do mnie konduktor. – Coś nie wydaje mi się pan znajomym. Chyba nietutejszy? Ma pan zamiar na dłużej się tu zatrzymać? Jeśli tak, to zawiozę pana na stację, a nie do hotelu. Stacja czysta i bez pluskiew. A co się tyczy jedzenia, to wskażę panu takie miejsce, gdzie za tanie pieniądze będzie pan miał samą przyjemność.

– Bardzo panu dziękuję – odpowiadam. – Mam tu znajomych.

Wtedy on:

– Kto to jest, kim są i czym się zajmują?

Naprawdę zmyślam jakieś imię, wyciągam je, że tak powiem, z *Agady*<sup>32</sup> i odczepiam się od niego. Zostawia mnie w spokoju i kieruje się do Żyda w podartym kożuszk. Każe mu wykupić bilet. Żydek w kożuszk wrusza ramionami:

– Co tam! Gdzie tam! Nie wiem, czy posiadam choć jeden grosz przy duszy.

– To już trzeci raz w tym tygodniu, jak jedzie pan bez biletu – konduktor Josl jest wyraźnie zły. Gniewa się.

– No to co? Mam z tego powodu iść na piechotę? Czy mam dla ciebie kraść? – Żyd w kożuszk jest także zły.

Josl konduktor macha ręką i podchodzi do zmarzniętego Żyda bez kożuszka. Ten udaje, że śpi.

– Przepraszam, proszę wykupić bilet!

Żyd udaje, że wyrwał się z głębokiego snu. Trze ręką o rękę.

– Bilet – powtarza Josl konduktor.

– Słyszałem – odpowiada po hebrajsku, chucha w pięści.

– Na co mi się zda wasze „słyszałem” – mówi Josl ostro. – Wyciągnij pan, za przeproszeniem, piątaka i masz pan bilet.

– Sza, sza – odpowiada zmarznięty. – Dlaczego tak ostro? Popatrzcie no na niego! Wielki pan!

– Nie udawaj pan wariata i proszę bulić za bilet.

– Było nie było, dla mnie coś pan z tego piątaka opuści.

– Na pana to mogę wszystkie moje zmartwienia spuścić – replikuje Josl konduktor.

– Schowaj je pan dla siebie. Na zdrowie.

– W takim razie grzecznie poproszę pana pofatygować się i opuścić „wagon”.

Po czym zwraca się do furmana: – Reb Kasriel – stop!

Furman Kasriel zatrzymuje tramwaj. Jest wyraźnie zadowolony. Chabeta jeszcze bardziej.

– No to, za przeproszeniem, spływaj pan.

Zmarznięty Żyd siedzi jednak twardo i nie rusza się z miejsca. Dla rozgrzewki wymachuje nogami i trze ręką o rękę.

– Na co pan czeka? Na honory? Mam wziąć pana za kołnierz i wyrzucić na zbity pysk? Niech tylko zjawi się Welwl – kontroler. To nasz kasjer. Otrzyma pan za swoje. Reb Kasriel, poo... szedł!

---

<sup>31</sup> *reb* – skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>32</sup> *Agada* – część *Talmudu* zawierająca legendy i mity. [przypis tłumacza]

I tramwaj znów rusza.

– Nie ma sprawiedliwości na świecie – odzywa się Żydówka od jabłek. – Czym ten Żyd jest gorszy od tamtego? Tamten może jechać bez biletu? Tylko dlatego, że tamten nosi kozuszek, a ten jest goły. Zje ci kawałek ławki? Myślisz, że ci postawią złoty nagrobek?

– Kto panią prosił o wstawiennictwo? Znalazła się obrończyni sprawiedliwości. Co pani porównuje tego Żyda do tamtego? Tamtego znam dobrze. To syn przyzwoitych rodziców. Niestety, podupadł ostatnio. A ten, nie wiadomo kto. Żebrak jaki lub pętał.

– A jeśli biedak, to co? – Żydówka od jabłek wstaje. – Jeśli biedak, to trzeba go wyrzucić? Co to znaczy wyrzucić? No i proszę. Popęłnił widocznie najcięższy z grzechów. Nie służył złotemu cielcowi. Koń przecież i tak ciągnie do miasta. Posiedzi sobie jeszcze jeden Żyd. A gdyby wyciągnął jeszcze jednego piątaka, to co wtedy? Twój rosół będzie od tego tłuszciejczy?

– Nie pytam przecież pani o radę! Daj pani lepiej piątaka i masz pani bilet.

– Oj Żydzi! – Żydówka zrywa się z miejsca i uderzeniem ręki wygładza suknię. – Wiedziałam, że i mnie będzie się czepiał. Jak pragnę szczęścia, wiedziałam.

– A co pani myślała? Że będę panią za darmo woził?

– Co znaczy? Ty mnie będziesz woził? Wagon mnie wozi, a nie ty. Przypiął sobie miedziany guzik i komenderuje. Pamiętam jeszcze, jak byłeś poganiaczem u Lejzora-Hersza, tego belfra z chederu<sup>33</sup>. Pamiętam, jak nosiłeś na barkach dzieci do chederu wraz z garnuszkim na śniadanie. To co będziesz mi tu bajki opowiadał? Bilet. Szmileł.

– Ja to mam szczęście, nieprawda? – Josl kieruje te słowa do mnie. Siada obok i kontynuuje. – Tak to oni wszyscy wyglądają u nas. Kto ma forszę i może płacić, ten drałuje na piechotę. Kto nie ma forsy i nie może płacić, ten jedzie tramwajem. A ty żyj tutaj, utrzymuj starą matkę i siostrę wdowę. Widzi pan te buty? – pokazuje mi swoje podarte buty. – One już całkiem otwarte mają noski, chcą jeść...

Nagle rozlega się trzask. To zderzyły się dwa dyszle. Słychać rzenie dwóch koni. Dwa wagony spotkały się na jednej linii. Jeden zmierza w naszym kierunku, drugi w odwrotnym.

– Cholera! A szlag by cię! Niech cię piorun trzaśnie. Ciebie i twego ojca, i ojca twego ojca, aż do Praszczura Adama.

– Obyś się udławił dyszlem. Niech twoja gęba się skrzywi. Niech piorun trzaśnie w ojca twego ojca. Tobie to się bardziej należy.

– Gdzie masz oczy, bękarcie? Skoro ja jadę prawą stroną, to ty masz jechać lewą.

– A gdzie to jest napisane, parchu jeden, że ty powinienes jechać prawą stroną, a ja lewą? A może właśnie jest akurat odwrotnie? Ja prawą, a ty lewą?

– Ośle. Po to właśnie są dwie linie. Ja tu, a ty tam!

– Sam jesteś osłem! Gdzie to jest napisane, a ty tu, a ja tam?

– Wiesz co? Pies z tymi liniami tańcował. Niech diabli porwą wszystkie ich wagony i cały ich tramwaj. Daj lepiej, Kasrielu, zapalić. Niech się spalą wraz z tramwajem w jednym ogniu. Jak tam twoja stara? Uspokoiła się trochę?

– Dopóki się ją bije. Spokojna jest tylko wtedy, gdy śpi. A co u ciebie?

– Co ma być? Konie działają mi na nerwy. Nie mogę ich już utrzymać na wodzy. Obawiam się, że je rzucę w diabły.

– Nie wiesz, co się robi? Zrób tak, jak ja. Zrób z nimi sztamę. I ty będziesz miał na owies, i one dadzą ci żyć.

– Niech im Bóg da cholere w bok. Ale, jak tam twój bułan. Już chodzi w zaprzęgu?

– Niech go ziemia pochłonie! Boi się bata i staje okoniem. Masz zapałkę? Daj ognia!

---

<sup>33</sup> *cheder* – dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowscy chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Święte*. [przypis tłumacza]

I dwaj furmani pograżają się w długiej rozmowie. Prowadzona jest w języku bałagulskim. Rozmawiają jak dwaj kochający się bracia. Również obydwaj konduktorzy nawiązują rozmowę. Atmosfera jest przyjazna. Trwa aż do przybycia Welwła, kontrolera, który wraca właśnie z uroczystości obrzezania u kasjera.

Z miejsca robi krzyk:

– A niech was szlag trafi w przód i środek. Znowu pokręciliście, znowu poplątaliście? Wasze szczęście, że jestem dziś w dobrym nastroju po uroczystości u kasjera Motka. To ci była uroczystość, powiadam wam. Niech go szlag. Na próżno nie siedzi przy kasie. Ja bym też tak chciał. To lepiej niż być kontrolerem. Uganasz się jak pies. Żydzi, co tu się u nas dzieje? Znowu katastrofa? Znowu zderzyliście się? Gdzie wasze oczy? Pasażerowie – czort z nimi! Szczęście, że wagony są całe. A teraz, rozjeżdżajcie się, każdy w swoją stronę. Reb Kasrielu kochany, weź, za przeproszeniem, i odwiąż konia z przodu, zaprzęgnij go z tylnej strony wagonu i jedź z powrotem na dworzec. Reb Azriel zaś pojedzie za tobą.

– A dlaczego to los padł na mnie – odpowiada Kasriel. – Niech Azriel przepręgnie konia i jedzie z powrotem do miasta, a ja pojedę za nim.

– Reb Azrielu – odzywa się kontroler – bądź łaskaw, zrób to i jedź do miasta z powrotem.

– Figa z makiem! – powiada Azriel. – Wolę, aby Kasriel pojechał z powrotem na dworzec. Nic mu nie będzie.

– Gdybym nawet miał skonać, to nie zrobię tego. Choć bij, zabij, nie zrobię tego! Nie ruszę się z miejsca – odpowiada Azriel.

– To ci nieszczęście – wtrąca się Żydówka. Chwyta koszyk z jabłkami i wyłazi czym prędzej z tramwaju. – To ci para. I jeszcze płąć im. Gdybym poszła na piechotę, dawno byłabym już w mieście. Sześć razy zdążyłabym obrócić tam i назад. Ot i wymyślili sobie trambudę.

Chyba, pomyślałem sobie, trzeba wziąć nogi za pas i popielgrzymować do miasta. Biorę walizkę i ruszam, za przeproszeniem, na piechotę. Z tyłu nadjeżdżają furmani. Słychać gwizd, huk i śmiech.

– A co? Wielmożnemu panu nie chciało się jeść postnego chleba? Nie chciało się jechać ze zwykłym bałagulą na zwyczajnej furmance? Zachciało się wam trambudy? Jeszcze szczęście, żeście uszli cało, że nie zrobili z was jajecznicy. Właż pan wraz z walizką, do której chcesz budy. My wszyscy mamy spótkę. Trzymamy sztamę. Co Bóg da, to do spótki. Aby razem. Wio! Wio!

Włażę ze swoją walizką do budy i z wielką pompą wjeżdżam do Kasrylewki.

## Rozdział II. Kasrylewskie hotele

– Jeśli chce pan mieć tanie i wygodne *locum*, to zawiozę pana na przyzwoitą stancję – rzekł do mnie mój bałagula i zawiózł do dwukondygnacyjnego domu. Dom był zaniedbany. Ze ścian odpadał tynk. Na wywieszce widniał następujący, dużymi literami wymalowany napis: „Hotel Turkalia”. Mój bałagula stuka batem w drzwi i krzyczy donośnym głosem:

– Noach! Noach! Gdzie ty, u licha, przepadłeś? Otwieraj! Sprowadziłem ci „jelenia”.

Na ten okrzyk otwierają się drzwi i ukazuje się w nich Żydek, którego zwą Noachem. Jest portierem w tym hotelu. Bez ceregieli chwyta moją walizkę i taszczy ją po schodach na piętro. Tu dopiero zadaje mi pytanie:

– A pan szanowny życzy sobie pokój ze śpiewem, czy bez?

– Co to za śpiew? – pytam.

– *Aktiejorów*. U nas mieszkają *aktiejorzy* żydowskiego trejatronu. Po przeciwnej stronie korytarza zatrzymał się kantor<sup>34</sup> z Litwy z dwunastoma chórzystami. Przyjechali na sobotę. Powiadają, że niegorszy nawet kantor. Istny skarb z tego kantora.

– Bardzo możliwe – powiadam – że istny skarb z tego kantora, ale ja wam go daruję. Dajcie mi lepiej pokój bez śpiewu.

– Jak sobie pan życzy – powiada do mnie portier Noach. – Mogę dać inny pokój. Wybór do was należy. Ale nie miejcie potem do mnie pretensji, jeśli tam nie będzie tak całkiem.

– Co znaczy – pytam – nie tak całkiem?

– Dla przykładu, tam może was coś gryźć.

– Kto – powiadam – może mnie gryźć?

– Kto może was gryźć? – odpowiada portier. – Ja was nie będę gryzł. Niedawno temu, na święto Pesach<sup>35</sup> przeprowadzono dezynsekcję, ale niewiele pomogło. Nawet nafta nie pomogła.

– Skoro tak – powiadam – to niech już będzie ze śpiewem.

I portier Noach wprowadza mnie do ciemnego pokoju, w którym unosi się jakiś dziwny zapach świeżo garbowanej skóry, zgniłych ogórków i machorki. Nie zdołałem rozejrzeć się, na którym to świecie jestem, Noach zerwał się i zaczął coś okładać pięściami. A robił to tak, jak wygląda się poduszkę ścieląc komuś łóże. W czasie tej czynności gada do siebie i obrzuca kogoś straszliwymi przekleństwami:

– Ty frajerze jeden! Ty kocurze morski! Ty zielone ucho! Rogu wołowy! Zaraz ci zasunę w twój cyferblat. Zęby ci z dziąseł powyrywam. Z całego świata przyprowadzają do nas ludzi, a ty w tym czasie pakujesz się do łóżka ze swoimi buciorami. Rozłożył się jak u swego ojca w winnicy. Cie choroba. Ładny mi lokaj. Nie raczył nawet otworzyć okiennic. Co, nie mogłeś nastawić samowara? Oczyszczyć buty *aktiejorom*? Sprzątnąć u kantora i jego chórzystów? Mojsze-Mordechaj, spływaj! Idź do cholery.

Wtedy dopiero spostrzegłem barczystego młodzieńca w dużych, grubo smarowanych butach. Zrozumiałem, skąd pochodził ów zapach... Ciosy, które dostał od portiera, nie wywarły na nim wielkiego wrażenia. Wytał wargi i nic. Jakby nie o niego chodziło. Otworzył okiennice, spojrzał na mnie i roześmiał się.

<sup>34</sup> *kantor* – śpiewak prowadzący modły przed pulpitem w bożnicy. [przypis tłumacza]

<sup>35</sup> *Pesach* – dosł.: „przeskoczyć, ominąć”; nazwa świąt wielkanocnych, pochodząca stąd, że według *Biblij* dziesiątą plagą, którą Bóg doświadczył Egipcjan przed wyzwoleniem Żydów z ich niewoli, było uśmiercenie egipskich niemowląt pierworodnych płci męskiej, czego dokonując Pan Bóg omijał (przeskakiwał) te domy, w których mieszkali Żydzi (pomazane uprzednio krwią baranka). W święta te Żydom nie wolno spożywać chleba, bułek ani żadnego pieczywa wypiekanego na drożdżach. Ponadto nie wolno używać naczyń, w których gotuje się przez cały rok, gdyż zachodzi obawa, by nie zjeść czegoś, co nie jest przaśne. Używa się więc wtedy specjalnych naczyń oraz jada dozwolonego przez ściśle przestrzegane przepisy religijne. Pesach jest też nazwą ofiary religijnej w formie uczyty, libacji sakralnej. [przypis tłumacza]

– Popatrzcie no – powiada do mnie portier – może pan wie, z czego ten rechocze? Rozpiera go widocznie przyjemność od mego bicia, które dostał na czczo. Mojsze-Mordechaj, zmiataj do jasnej cholery! Ach, ty paskudny chłopie! Bułkojadzie! Makaroniarzu zatracony!

Mówiąc to zdiela go po karku i wyrzuca za drzwi.

– Całkiem przyzwoity facet – powiada potem – ciut tylko leniwy. Mocny ma sen – bez bicia za żadne skarby się nie obudzi. Haruje biedaczysko jak koń. Co zarobi, oddaje siostrze. Ledwom wskórał, aby sobie buty sprawił. Co panu podać do herbaty? Świeże pieczywo, obwarzanki, suche ciasteczka z makiem albo też kasrylewskie naleśniki?

I Noach portier robi w tył zwrot i znika.

– Wujku, pan już po modlitwie? – jakiś facet wsuwa głowę w drzwi.

– Co to pana może obchodzić? – powiadam.

– Mam do pana prośbę – mówi tamten.

– A kto pan jest?

– Żyd – powiada facet – obcy, nietutejszy. Chciałem na chwilę pożyczyć tałes<sup>36</sup> i tefilin<sup>37</sup>. Mój ukradli nie dalej jak wczoraj, tu na tej stacji.

Otwierają się szeroko drzwi i wsuwa się jeszcze jedna głowa. Bez czapki. Przemawia naraz w kilku językach.

– Różne towary. Panie, mam pończochy. Dobre pończochy. Mam rękawiczki zimowe. Z najlepszego materiału. Tanio, prawie za pół darmo. Jak Boga kocham – mówi po polsku, rosyjsku, niemiecku i po żydowsku. – Niech pan sobie kupi pończochy. Nawet pół tuzina. Niech Bóg da panu zdrowie.

Nie wiedziałem, z kim mówię. Często mi się zdarza, że napotykam dziedzica, gadam do niego przez całą godzinę po żydowsku i wtedy obrywam. Dlatego też spróbowałem zagadnąć po polsku, po rosyjsku i po niemiecku. Dzięki Bogu, znam parę języków.

– Pary dobrych rękawiczek, ciepłych rękawiczek, nie weźmie pan? Ja sam, jak pan mnie tu widzi, byłem kiedyś wielkim kupcem. Jeździłem na największe jarmarki. Do Jarmolinca, Proskurowa i do Połtawy. Więc, znaczy się, pan nic nie chce? A może kawałek mydła? Grzebyk, *prima sort*, też nie? Dziękuję panu za utarg. Moje dzieci się ucieszą. A może kupi pan szczoteczkę? A może krawat? Mam bardzo ładny. A może jeszcze pół tuzina pończoch. Sprzedam taniej. Nie chce pan? No, to wszystkiego dobrego.

Żyd bierze czapkę i odchodzi. Zjawia się inny. Ten już w czapce.

– Kup pan, wujku, u mnie pończochy. Dobre, tanie pończochy.

– Nie potrzebuję pończoch, dziękuję.

– Co znaczy – powiada Żyd – że nie potrzebuje pan pończoch? Przecież dopiero co kupił pan pół tuzina u tamtego. Ja też jestem Żydem. Teżem biedak obarczony licznym potomstwem. Z dwóch chłopców jeden chodzi do szkoły rosyjskiej, drugi terminuje u rzemieślnika, młodszy zaś chodzi do chederu. Dziękuję panu. Życzę zdrowia. Niech Bóg pana wynagrodzi.

Po nim wchodzi następny Żyd. Wysoki, chudy, z twarzą, na której widoczne jest przerażenie.

– Jeśli pragnie pan zrobić dobry i miły Bogu uczynek, to weź pan ode mnie resztę pończoch. Przez to zaoszczędzi pan sobie postu w Tisza b'Aw<sup>38</sup>. Pozostało mi kilka tuzinów par.

– Nie potrzebuję pończoch. Już mam ich dosyć.

<sup>36</sup> *tales* – dosł.: „narzuta”; szata liturgiczna, wełniana biała chusta w niebieskie lub czarne pasy, w którą owijają się żonaci mężczyźni podczas modlitwy porannej oraz w czasie innych, ściśle określonych przez przepisy religijne nabożeństw. [przypis tłumacza]

<sup>37</sup> *tefilin* – dosł.: „modlitwy”; nazwa dwóch skórzanych pudełeczek zawierających wypisane na pergaminie modlitwy – przepisy, które mężczyźni od trzynastego roku życia wkładają na głowę i lewą rękę podczas modlitwy porannej w dni powszednie. [przypis tłumacza]

<sup>38</sup> *Tisza b'Aw* – dosł.: „dziewiąty dzień miesiąca Aw”; w tym dniu w 70 r. n.e. Rzymianie zburzyli Jerozolimę wraz ze świątynią. W r. 586 p.n.e. w tym samym dniu miesiąca Aw, król babiloński Nebuchadnezar zburzył pierwszą świątynię jerozolimską. W czasie *Tisza b'Aw* obowiązuje post taki, jak w Jom Kipur. Wszystkie inne posty obowiązują Żydów obojga płci tylko od trzynastego roku życia. [przypis tłumacza]

– Daję je panu poniżej własnych kosztów – powiada Żyd. – Nie będę się targował. Ile pan da, tyle będzie. Oby Bóg za to dał panu zdrowie na długie lata. Mam syna, który kończy w tym roku gimnazjum. Chce studiować medycynę. „Nie będziesz ojciec – tak powiada do mnie – musiał więcej harować. Wtedy harował będę ja, a ty sobie odpoczniesz.” Tak powiada mój syn. Ale póki co, trzeba go podtrzymać, wspierać pieniędzmi, aczkolwiek już, bez uroku, sam trochę zarabia. Dziesięć karbowaniców na miesiąc. Bądź pan zdrow. Życzę powodzenia.

Wchodzi Żydówka. Mówi z przyśpiewem.

– To pan jest tym gościem z Jehupca?

– Owszem i co z tego?

– Słyszałam, że pan przybył do Kasrylewki kupić pończochy. No i przyniosłam panu kilka tuzinów na próbę. Mam fabrykę pończoch. Od dziesięciu lat produkuję pończochy.

– Kto pani powiedział – pytam – że ja kupuję pończochy? Nie przyjechałem po pończochy. Nie potrzebuję ich.

Żydówka jednak nie słucha tego, co mówię i robi swoje. Miele językiem. Istny młyn.

– Moje pończochy słyną w całej Kasrylewce. Niech pan popatrzy, co to za pończochy. Co pan powie na przykład na tę parę?

– Na miłość boską! – krzyczę – Nie potrzebuję pończoch!

– Oto leżą przecież – powiada ona – u was na stole!

– Te pończochy to ja sam przywiozłem na sprzedaż.

Towarzyszę Żydówce do samych drzwi. Zamykam je na klucz w obawie, że znowu ktoś przyniesie mi pończochy. Nagle ktoś puka.

– Kto tam?

– To ja – odpowiada ktoś zza drzwi.

– Co za „ja”? – boję się otworzyć drzwi. Znowu mogą się pojawić sprzedawcy pończoch. –

Kto puka?

– Dawid – rozlega się głos zza drzwi.

– Jaki Dawid?

– Dawid Szpan.

– Co za Dawid Szpan?

– Dawid Szpan. Komisjoner.

– W jakiej sprawie? Może pończoch?

– Pan potrzebuje pończoch? Już lecę do sklepów i przynoszę.

– Nie! Nie! Nie potrzebuję pończoch.

Otwieram drzwi i natykam się na Noacha.

Jest obładowany bułkami, obwarzankami, ciastkami, plackami i naleśnikami.

– Dla kogo tyle prowiantu?

– Co się pan będzie martwił? Psom się tego, uchwaj Boże, nie wyrzuci. Są, bez uroku, tacy, co zjedzą. Ja sam mam sześć gęb w domu. Ponadto dwie obce sieroty. Powiedz pan lepiej, co z pana za dziwne stworzenie? Pan potrzebuje pończoch i nic mi o tym nie mówi? To aż trzeba było prosić Dawidka Szpana?

– Kto go prosił – powiadam – aby przyniósł pończochy?

– Nie wiem, kto prosił – powiada Noach. – Ja go na pewno nie prosiłem. Dawidek-złodziej przyniesie panu takie pończochy, że będzie na co patrzeć! Kasrylewskie pończochy!

Przy tych słowach wchodzi masywny Żydek o czerwonych policzkach. Twarz spocona, fajki-cybuch w ustach. Bez zbędnych ceregieli biorę go za rękę i pokazuję mu drzwi.

– Idź pan sobie do wszystkich diabłów wraz ze swoimi pończochami. Nie potrzebuję pończoch.

– Na litość boską! – portier Noach jest przerażony. – Kogo pan wyrzuca? To przecież nasz gospodarz, właściciel hotelu.

– Ach, tak. Proszę wybaczyć – witam go serdecznie i przystawiam mu krzesło. – Myślałem, że pan jest tym Żydem, który poleciał po pończochy. Masz ci nieszczęście. Zarzucono mnie pończochami. Istny potop pończoch. Siadajcie. Bardzo proszę.

– Dziękuję, chętnie – powiada do mnie gospodarz. Siada na krzesło i pyka fajkę.

– Skąd Żyd przybywa? Może z Jehupca? Mam tam znajomka. To znaczy mój znajomek już właściwie nie mieszka w Jehupcu. Już dawno temu stamtąd wyjechał. Obawiam się, że już będzie osiemnaście lat, jak się wyprowadził z Jehupca. Może nawet dziewiętnaście. Przeprowadził się do Odessy, do krewnych, którzy mają tam skład pszenicy. Dwa składy – jeden w Odessie, drugi w Mikołajewsku. Odeski interes niczego sobie. Dobrze prosperuje. Mikołajewski jest teraz bity, nawet bardzo. Bije go na głowę Teodozja. A wszystko przez to, że w Teodozji zbudowano port. Teodozja stała się dziś miastem, co się zowie. W Teodozji też mam znajomych. Powiadają, że to piękne miasto.

Widzę, że zapowiada się na długą historię. Na historię bez końca. Udaje mi się wtrącić:

– O co to chciałem pana zapytać? Aha! Już wiem. Dlaczego pan nazwał swój hotel „Turkalia”?

– Pamiętam jeszcze Teodozję – odpowiada gospodarz. – Pamiętam ją jako miłe miasteczko. Ja sam, rozumie pan, jestem stamtąd. Tamtejszy, besarabski. Pochodzę z Besarabii<sup>39</sup>, z małego miasteczka Dubosady. To znaczy urodziłem się w Bełcu. A pan szanowny był kiedyś w Bełcu? Fajne miasto z tego Bełca. Ale nie umywa się do Kiszyniowa.

– Tere fere kuku – wtrąca się portier Noach. – Może pan z gospodarzem rozmawiać trochę głośniej. Słuch ma popsuty. Głuchy jak pień.

Przysuwam się jak najbliżej do gospodarza i krzyczę mu wprost do ucha:

– Pytam się, dlaczego wasz hotel ma tak dziwną nazwę.

– Czemu pan tak krzyczy? Nie jestem głuchy. Dziwna nazwa, powiada pan? Co w niej dziwnego? „Italia” jest dobra? „Portugalia” to dobrze? A „Turkalia” pochodzi od Turka. A więc, na czym to ja się zatrzymałem? Na Kiszyniowie. A ludzie? U nas, w Besarabii, słyszy pan, to zupełnie inni ludzie. I jada się tam zupełnie inaczej. Gdy zasiadają do stołu, to zaczynają od wspaniałych ryb ze wspaniałej rzeki. Po tym – dobry, tłusty kawałek kade. Po nim zaś podają na dużym talerzu wspaniałą mamałygę<sup>40</sup>, którą kroją wszere długą nicią. Potem podają świeże i gorące pampuszki<sup>41</sup>. Zapija się je prawdziwym winem besarabskim. Zakąskę do tego stanowi *nahut*, czyli cudowny groch.

Przy tej okazji gospodarz oblizuje się i dodaje mi apetytu do jedzenia. W czasie, gdy gospodarz opowiada o potrawach besarabskich, rozlega się śpiew litewskiego kantora:

I cieszę się z two-  
go królestwa stra-  
żnicy soboty, głosiciele  
jej rozkoszy.

A chór rozdziela się na dwie grupy. Jedna grupa śpiewa:

Turarir! Turarir!  
Turarir! Turarir!

Druga grupa podtrzymuje:

Pim-pom!  
Pim-pom!

---

<sup>39</sup> *Besarabia* – kraina historyczna, obecnie stanowiąca część Mołdawii i Ukrainy. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *mamałyga* – potrawa z mąki kukurydzianej. [przypis tłumacza]

<sup>41</sup> *pampuszki* a. *pampuchy* – placki drożdżowe gotowane na parze. [przypis edytorski]

Pim-pom!

Z kolei z drugiej strony słyhać śpiew *aktiejorów*:

Nózki, ach nózki,  
I nóż-ki!  
I ży-we  
Nóż-ki, ach nózki!  
Taki rok na mnie.

Również posługacz, który czyści buty za moimi drzwiami, raz po raz pluje w szczotkę i zawodzi piosenkę:

Mam ja teściową,  
Ma ona zię-zię-cia,  
Bije on jej córkę  
I drży przy tym zięć.

Tuż po śpiewie słyhać głos Żydówki, która klnie i beszta swego męża. To gospodyni szuka we wszystkich pokojach naszego gospodarza. Nie przestaje kłąć. Wyrzuca z siebie jakieś dziwne i nietypowe przekleństwa. Wszystkie niemal kończą się rymami:

– Cholerę w bok. Zmartwień na rok. Udar do głowy i cios mu morowy. Niechaj ogień go pali.  
Niech płomień go smali!

– Pan będzie jadł z gospodarzem i gospodynią? Czy też w restauracji – pyta mnie portier Noach.

– W restauracji! W restauracji!!

### Rozdział III. Kasrylewskie restauracje

„Koszer – Tu są smaczne, świeże i koszerne potrawy – Sara Indyk.” Przeczytawszy takie ogłoszenie wspinam się czym prędzej po stromych, śliskich schodach na drugie piętro czerwonej, nagiej kamienicy. Nie zwracam uwagi na to, że zapachy dochodzące z kuchni nie są zbyt przyjemne dla nosa. Pusty żołądek nie przebiera.

– Gdzie tu można zobaczyć Sarę Indyk? – pytam o to starego Żyda o żółtej twarzy, który siedzi na podłodze i reperuje stary, sfatygowany materac.

– Daleko – odpowiada stary i klepie materac tak mocno, że aż zaczyna się z niego wydobywać zielony dymek.

– Wyjechała?

– Wyjechała! – stary kiwa przy tym głową. – Wyjechała na zawsze!

– Umarła? Sprawiedliwe są wyroki opatrności.

Wypowiadam to dosyć szybko i chcę się wycofać.

– Tak, umarła. W wigilię święta Pesach minie sześć lat od jej śmierci. Uwierz mi panie, że jej dotąd nie zapomniałem. Ani na chwilę. Jak zresztą można było ją zapomnieć? A jak gotowała? Jak piekła? Jak potrafiła obchodzić się z ludźmi? A jak potrafiła rozmawiać z człowiekiem. Jak potrafiła dostosować się do moich wariackich wybryków? Nie mogę tego zrozumieć do dziś. Czyż muszę panu to opowiadać? Pan ją chyba znał?

– Skąd – powiadam – mogłem ją znać? Jestem przecież po raz pierwszy w Kasrylewie.

– No to – powiada tamten – czemuś pan o nią pytał?

– Wcale nie o Sarę pytam. Pytam, czy tu mieści się restauracja „Sara Indyk”. Taki jest napis na ścianie. Chcę coś zjeść.

– Coś zjeść? To czemu pan od razu nie mówi? Rachelo! Rachelo!

Wnet zjawia się sympatyczna ciemna brunetka o czarnych, śmiejących się oczach. Rękawy ma zakasane. Na rękach, twarzy, fartuchu bieli się mąka.

– Co znowu? – czarnooka, pełna wdzięku kobietka wyciera rękawem nos. – Nie dadzą człowiekowi przesiać mąki! Co chwila tylko Rachelo! Rachelo!

– Ten pan chce coś zjeść – stary wypowiada to głośno i nie przestaje klepać materaca.

– Coś zjeść? – kobietka zadaje pytanie z dziwnym jakimś przyśpiewem, podobnym do tego, z jakim w bożnicy czyta się rozdziały z Biblii. Wytrzepuje fartuch i prószy mi w oczy mąką. – A co chciałby pan zjeść?

– A co pani ma? – staram się wypowiedzieć to w jej tonacji.

– A co pan chce? – mówi w tej samej tonacji, z przyśpiewem.

– Co ja chcę? No, powiedzmy, ryby. Macie może faszzerowane?

– Po targu rybnym? Też mi pomysł.

– To niech będzie barszcz – powiadam – skoro nie ma ryb.

– A gdzie pan to widział, aby po południu był barszcz? Barszcz trzeba ugotować. Wie pan coś o tym?

– Wszystko trzeba – powiadam – ugotować.

– Dobrze, że pan przynajmniej wie – powiada ona. – Dobrze i to.

– Sztuki mięsa też nie ma?

– A skąd miałyby się wziąć? Było i zostało zjedzone.

– No to – powiadam – niech będzie bulion.

– A z czym ma być bulion? Z grysikowymi kostkami, z macą<sup>42</sup>, czy też z migdałami?

<sup>42</sup> maca – cienkie, prażone placki, które Żydzi spożywają w święta wielkanocne zamiast chleba, na tę pamiątkę, iż gdy uciekali z niewoli egipskiej, nie zdążyli upiec sobie chleba na drogę, a ciasto bez drożdży, które z sobą zabrali, upiekło się na słońcu. [przypis

– Niech będzie, z czym pani chce. Grunt, żeby był bulion.

– A kiedy chce pan mieć ten bulion?

– Co znaczy kiedy? Natychmiast!

– Co znaczy – powiada ona – natychmiast! Przecież pan chciałby zapewne, aby bulion był z kury. Jaki bowiem smak ma bulion bez kury? A kurę trzeba najpierw złapać, potem zanieść do rytualnego rzeźnika, oskubać, spreparować, posolić, oblać wrzątkiem, wymoczyć i postawić na ogień. Daj Boże, abym zdążyła przed nocą.

– W takim razie niech pani poda byle co. Może być kawałek mięsa, troszkę zupy, jajecznicą z kilku jaj. A może ma pani coś słonego?

– Dziwny Żyd – zwraca się do starego. – Wszystko by chciał... Śledzie, jeśli ma pan ochotę, mogę zrobić.

– Niech będzie śledź, aby szybko.

– A jak pan sobie życzy? Z cebulką?

– Z cebulką!

– I z octem też?

– Z octem też!

– Z oliwą też?

– Tak, z oliwą też!

Jeszcze raz strzepuje fartuch, podkasuje rękawy i idzie po śledzie. Za chwilę wraca.

– A jak pan woli, żeby śledzie były z mleczem czy z ikrą?

– Niech będzie jaki bądź. Aby był.

– Wędzone rybki zje pan?

– Czemu nie?

– A głowacze odeskie?

– Z największą przyjemnością!

– Nie wiem jednak, czy już są. Zdaje mi się, ich jeszcze nie ma. A może już są? Nie! Jeszcze za wcześnie. Mimo to jednak pójdę zobaczyć, czy już są.

Rachela wychodzi i zaraz wraca.

– A na żydowską kiełbasę ma pan chrapkę?

– Och – odpowiadam – jeszcze jaką! Niech pani kupi bez zastanowienia kiełbasę. Bardzo lubię kiełbasę.

– Pan zapewne ma na myśli warszawską kiełbasę?

– Oczywiście. Naturalnie, że warszawską.

– Jeśli tak, to, za przeproszeniem, będzie pan łaskaw pojechać po nią do Warszawy. Tam pan już się jej naje do woli. U nas w sprzedaży jest kiełbasa kasrylewska. Z naszej kasrylewskiej masarni. Trzeba mieć do niej żelazne zęby! Nożem jej nie ukroisz. Chyba, że siekierą. Czort wie, co oni tam pchają do środka, że jest taka twarda. Zdarzyło się, że kiedyś przebito kiełbasę i znaleziono w niej gwóźdź. Widocznie wkładają do niej gwoździe, aby więcej ważyła.

– A może starczy już tego gadania? – stary zaczyna się denerwować. – Idź i przynieś, i niech będzie koniec.

– Co to znaczy idź i przynieś? Trzeba przecież wiedzieć, co przynieść! Każdy ma przecież swego konika, swoje wariactwa. Oto ty, na przykład, lubisz smażone ryby. Inny znów nie znosi smażonych ryb, a lubi pieczone. Albo taki przykład. Są u nas goście, którzy każą sobie ugotować mózdzek i zjadają go z siekaną cebulką i smalcem. Ale są również tacy, którzy w dzień powszedni zamawiają pieczeń z wysuszonymi ząbkami czosnku. A są i takie żarłoki, które duszę sprzedadzą za nadziewaną kiszkę z farfelkami... I są również tacy, którzy za nic, nawet gdyby ich ozłocono, nie wzięliby do ust marynowanego w occie mięsa..!

– Proszę pani – przerywam jej – niech będzie, co będzie, byleby pani przyniosła. Jestem śmiertelnie głodny.

Rachela wychodzi i stary odzywa się do mnie:

– Ta ci ma gadane!

– To wasza córka?

– Jaka tam córka. To moja druga żona. Co tu gadać! Z całą pewnością to już nie to, co tamta. Tamta, wieczny jej pokój, była kobietą, jakiej dziś nie znajdziesz. To znaczy, ja tej obecnej też nie mam nic do zarzucenia. Haruje, nieboraczka, rzetelnie. Nie ma lekkiego życia. Ten materac, nad którym ślęczę, to cała nasza pościel. W dodatku jestem chorowity i kapryśny. Trzeba być z żelaza, aby wytrzymać ze mną i z moimi wariactwami. To znaczy, z natury ja nawet jestem dobry, ale jeśli jakimś słowem mi dopieką, to nie ręcę za siebie. Nikt nie może być wtedy pewny swego życia. Co mi tylko wpadnie do ręki, to zaraz leci, gdzie popadnie. Taki jestem wybuchowy! Czy pan myśli, że nie uprzedzałem o tym mojej żony przed ślubem? Powiedziałem jej otwarcie, że słodyczy u mnie nie zazna. Będzie musiała się zadowolić suchym kawałkiem chleba. O mleku i mięsie mowy być nie może. A co się tyczy harowania, to będzie musiała tyrać za trzech.

– Dlaczego więc wyszła za pana?

– Co znaczy – dziwi się stary – dlaczego? Z jakiego powodu? A mieszkanie to pies?

– Jakie mieszkanie – powiadam – ta kamienica do pana należy?

– Nie! – stary śmieje się. – Mam na myśli restaurację, która należy do mnie. To już interes zaprowadzony. Funkcjonuje od wielu lat. I jak by nie prosperowała źle, to jednak, bądź co bądź, dom. Gdyby pan zobaczył moją Rachelę, jak ładnie ubrana wychodzi na spacer, wzięłyby ją pan za hrabinę. Bez uroku, piękna z niej kobieta! Prawda, teraz już trochę przybladła. Gdyby pan ją widział parę lat temu.

– Ile ma pan dzieci?

– Te, te, te! W tym cała bieda, że nie mam dzieci. Napije się pan? Dam panu trochę spirytusu.

– Z największą przyjemnością!

– Należę panu – powiada do mnie stary – do ciemnego kieliszka. Wyciąga zza pazuchy butelkę i małą czarę. Nalewa mi trochę spirytusu. Mała wypita czarą zaostrza jeszcze bardziej mój apetyt. Czuję, że nie wytrzymam.

Wchodzi Rachela. Klepie się po sukience i powiada:

– Niech mnie piorun trzaśnie. Zupełnie zapomniałam, że w domu nie ma bułki. Nie ma kawałka chleba. Jakie pieczywo pan lubi? Kołacz żydowski, bułkę francuską, czy też zwyczajny chleb?

– Co prędzej pani zobaczy, to proszę kupić. I niech pani, bardzo o to proszę, więcej nie pyta, co ja lubię. Ja wszystko lubię.

– Kapryśny gość – powiada Rachela. – Przebiera i kaprysi, bardziej nawet niż mój mąż, który codziennie miałby ochotę na świeży chleb. Starego pieczywa nie weźmie do ust. A czy może być codziennie świeży chleb? Na to może sobie pozwolić chyba tylko Kobyłański.

– Ano, idź już, idź! – stary ją pogania. – Widzisz przecież, że człowiek umiera z głodu.

Rachela wychodzi po pieczywo, a na jej miejsce wchodzi jakaś wysoka Żydówka o jednym oku. Jedną rękę wsunęła za stanik, drugą drapie się w ucho.

– Reb Mojsze-Jankiel, co robić? Poradź mi – wysoka Żydówka błagalnie zwraca się do starego. – U mego Szmulika znowu ucho nawaliło.

Nadchodzi Rachela z pieczywem i zabiera się do przyrządzania śledzi. Wysoka Żydówka nie przestaje paplać o tym, jak jej Szmulikowi cieknie z ucha. Boi się, że bez lekarza znowu się nie obejdzie. Jest w kropce. Nie wie, do którego lekarza iść. Do którego by nie poszła, z góry wie, że pieniądze będą wyrzucone. Kasrylewscy lekarze bowiem, oby szlag ich trafił, to znani krwiopijcy. Kasrylewski lekarz, jeśli dacie mu mniej niż jeden złoty rubel, to wam forszę rzuci w twarz. A niech go. Profesora odstawia.

– Niech pan da jałmużnę biednemu, choremu człowiekowi – słowa te wypowiada Żyd o sonej twarzy. Wyciąga małą, wychudłą rączkę. Zda się, że została ona stworzona po to, aby żebrać. – Daj pan jałmużnę dla obłożnie chorego.

Przerywam swoją ucztę. Płacę za niedokończone jedzenie i wyrywam z „restauracji” tam, gdzie pieprz rośnie.

## Rozdział IV. Kasrylewskie wino i kasrylewscy pijacy

„Po takim obiedzie nie zaszkodziłoby wypić szklanek wina”. Tak sobie właśnie pomyślałem, gdy nagle zobaczyłem szyld z następującym hebrajsko-żydowskim napisem: „Tu się sprzedaje po przystępnej cenie wino gronowe, miód i piwo”. Schodzę w dół do ciemnej piwnicy. Pośród beczek i beczulek, wiader i butelek zauważam w kącie rosłego młodzieńca z przewiazaną opuchniętą twarzą. Stoi nad korytem i tasakiem rozbija rodzynki.

– A gdzie – pytam go – podziewa się gospodarz?

– Gospodarz? – powtarza młodzieniec, jednocześnie nabiera pełną garść rodzynek, pakuje sobie w usta i z apetytem zajada.

– Gospodarz jest w kamerze<sup>43</sup>. Robi „wimorozig”.

– Co znaczy – pytam – robi „wimorozig”?

– Pan chce wiedzieć – powiada do mnie młodzieniec – jak się robi „wimorozig” u nas, w Kasrylewce? Bierze się rodzynki i rąbie się tasakiem. Porąbane pakuje się do dużej beczki. Nalewa się wody z Gniłopiatki, dodaje chmielu i wtedy wino zaczyna grać. Powstaje wtedy taki odór, że można się udusić. Następnie wlewa się dwa wiadra spirytusu, wsypuje taki specjalny proszek, który kosztuje jeden rubel za cały pud<sup>44</sup>. Potem dla oczyszczenia przepuszcza się to całe wino przez chłopską koszulę i kredą pisze się na beczce: „Wimorozig Akerman”. A jeśli chce pan, aby wino było czerwone, to do tego samego „wimoroziga” dodaje się trochę kolorku i wypisuje się kredą na beczce „Zmirowska Teodozja” albo „Węgierska Malaga”. A kasrylewscy smakosze żłopia tę ciecz i palce liżą. Ale sza, oto nadchodzi gospodarz. Oby kopyta wyciągnął.

Zauważywszy nadchodzącego gospodarza młodzieniec zabiera się z całych sił do rąbania rodzynek.

– Pan w jakiej sprawie? – przede mną staje gospodarz. Jest niewysokiego wzrostu, rudy. Głos ma ochryply. Jedno oko mu się nie zamyka. Odnoszę wrażenie, że w czasie snu także.

– Chciałbym wypić szklaneczkę wina.

– Pojedynczą czarzkę wina? – gospodarz dłubie sobie w uchu i patrzy przy tym w sufit.

– Pojedynczą czarzkę wina.

– To po co wlaź pan do piwnicy? Dlaczego nie wszedł pan na górę? Wyłaź pan, za przeproszeniem. W prawo!

Wyłażę z piwnicy, biorę kurs na prawo i trafiam do ciemnego pokoju, pełnego dymu i brudu. Znajduje się w nim kilka kulawych krzesel. Siedzą na nich Żydzi, palą papierosy i ciągną „wimorozig”. Nie śpiewają, nie krzyczą, nie uderzają rękoma w stół i nie wyczyniają żadnych brzydkich kawałów.

Co więc robią? Siedzą i żłopia swój „wimorozig”. Palą papierosy, cicho wzdychają i, postępując, rozmawiają. Przy jednym ze stolików siedzi dwóch Żydów. Głowy mają opuszczone, widać, że już zabrakło im słów. Nagle jeden z nich zrywa się:

– Co powiesz Szymonie-Dawidzie na ten „wimorozig”?

– A co mam powiedzieć na ten „wimorozig”? – mówiący te słowa wygląda na wyrwanego z głębokiego snu. – To nie „wimorozig”. To boski napój. To nektar. To ci dopiero „wimorozig”.

– Trzeba by było go zapytać, czy na Pesach będzie miał taki sam.

– Już się teraz martwisz? Do świąt jeszcze daleko. Innych zmartwień nie masz? Tylko „wimoroziga” ci brakuje?

– A co? I tak marny mój los.

---

<sup>43</sup> kamera (daw.) – zamknięte pomieszczenie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> pud – daw. rosyjska jednostka wagi. [przypis edytorski]

– Tak, marny twój los. Już przez samo to, że musisz przesiadywać tu całymi dniami, ukrywając się przed żoną, która domaga się pieniędzy na urządzenie soboty.

– Nie przypominaj mi żony. Już lepiej, żebyś mnie zastrzelił. Co ja jej mogę dać? Tylko zmartwienia i troski. Biada mi! Po stokroć biada!

– A czy ty uważasz, że mnie jest lepiej? I mój los marny, i mnie biada.

– Wiem, że i tobie nie lepiej. Biada nam obydwom. No to cyk. *Lechaim*<sup>45</sup>. Obyśmy zdrowi byli.

Przy innym stoliku też siedzi dwóch Żydów. Jeden w całej kapocie, a drugi w podartej. Ten w całej mówi, drugi zaś patrzy mu w oczy i przytakuje kiwając głową.

– Rozumiesz już, w jaki sposób Lewi-Icchok umie kombinować w interesach? Lewi-Icchok potrafi zakreścić, pokręcić, wkręcić siebie i wkręcić drugiego. Sam zaś potrafi się wykręcić w odpowiednim momencie. Ja zaś, kiedy przystępuję do interesu, lubię rzecz dokładnie rozważyć. Sza! Powoli! Tylko bez pośpiechu!... Gdy tylko wyniucham, jak sprawy stoją, zaczynam się rozglądać, rozważać. Może to, może tamto. Może tak, a może siak. Co mi zaszkodzi. Jak by tam nie było, jak to się mówi, dobrze i godzinę pożyć. Jeśli jednak dostrzegam w oczach partnera niedobry błysk, wiem, że jest krucho, że jest nietęgo, to co robię? Robię krok w bok i sza! Niech to się dzieje beze mnie. Jeśli los zechce, to mi już teraz nie ucieknie. A jeśli trzeba interweniować i zabiegać, to się będzie zabiegało. Jeszcze jest na świecie Petersburg. Wiemy już, do których drzwi należy kołatać, wiemy, które drzwi się otworzą. Wiemy, co jest grane. Wiemy, jak trzeba gadać. Znamy ten język. A jeśli trzeba napisać, to znajdzie się takiego, co napisze. Najważniejsze, żeby było cicho. Żeby było cicho, sza – dla ilustracji ugryzł się we własną pięść i zaniemówił.

Przy innym stoliku siedzi kilku Żydów w różnych kapotach. Na głowie mają czapki różnego kroju. Wszyscy gadają naraz. Ich słowa zlewają się w jedno, powstaje mieszanka słowna o handlu, polityce, „wimorozigu”, o dawnych latach, dzisiejszych dzieciach. O lekarzach, o tramwaju, o podatku mięsny i o tym, jaki szlag powinien trafić ojców naszych kasrylewskich bogaczy. Nie da się utrwalić na papierze tego, o czym mówią. A z boku stoją zupełnie obcy ludzie. Ci nie piją „wimoroziga”. Przyszli tu ot, tak sobie. Ciekawi są, o czym tu się mówi. Przy okazji pogrzeją się trochę.

Ale oto przy stole rozsiadła się grupa Żydów, sączących wino i śpiewających, proszę sobie wyobrazić, nie po żydowsku. Śpiewają jednak cicho, składnie, w płaczącej tonacji, w jakiej się śpiewa *Psalmy*. Tekst jest przeplatanką słów ukraińskich i żydowskich:

Abramku! Abramku!  
*Owinu* ty nasz!  
 Czemu ty nie prosisz  
*Elohenu* nasz!  
 Albo nas *wykopit*,  
 Albo nas *wyprosit*,  
*Learcejnu* naszu  
*Lezemlu* naszu?

Gdy dochodzą do *wykopit*, wzmacniają głos. Melodia nabiera akcentu burzy i grozy. Gdy dochodzą do *wyprosit*, nagle mięknią. Pochylają głowy i podnoszą ręce jak, nie przymierzając, pobożny kantor w Straszne Dni<sup>46</sup> na podium. Przy słowach *learcejnu naszu*, *lezemlu naszu* zaczynają szlochać. Płaczą rześzystymi łzami, zupełnie jak dzieci...

– Hej, hej – krzyczy ktoś i wyrwa się z tej grupy. Jest to Żyd, któremu czapka zsunęła się już zupełnie z głowy. Oczy kleją mu się do snu, a język płacze między zębami. – Co by to było, gdyby

<sup>45</sup> *lechaim* – toast przy wznoszeniu kielicha, znaczy „na życie”. [przypis tłumacza]

<sup>46</sup> *Straszne Dni* (hebr. *Jomin Noroim*) – tak nazywają Żydzi święta Nowego Roku i Sądneho Dnia, bowiem wówczas – według ich wierzeń religijnych – Bóg sądzi ludzi i wyznacza im los, zgodny z ich dotychczasowymi postępkami. [przypis tłumacza]

nam na przykład ni z tego, ni z owego, oddali Ziemię Izraela? Aha Jenkl, wyobrażasz to sobie? I co powiesz na to? Ty przecież znasz się trochę na tym.

– *Erec Izrael*<sup>47</sup>? – powiada Jenkl i wyciąga swoją długą szyję, aby poskrobać się pod kołnierzem.

– Mówisz o Ziemi Świętej? Ach, byłoby to całkiem niezłe. – Powiadają, że coś w tej sprawie robią ci, no, jak ich tam nazywają? No, ci, ci...

– Syjoniści? – wtrącił się trzeci z grupy. – Ale to wszystko guzik! Nic z tego nie będzie.

– Dlaczego? Przecież w tym coś musi być. Musi być jakiś sens!

– Wiem chyba, co mówię. Nie znoszę czczego<sup>48</sup> gadania. Wiesz przecież, że jeśli ja coś powiem, to jest to powiedziane.

– Wszyscyście osły! – wtrąca się jakiś rakowaty Żydek w błyszczącej kapocie. Mówi powoli. Cedzi każde słowo. Przykłada palce do nosa, usta wykrzywia na bok i uśmiecha się sam do siebie. Policzki mu płoną. – Durnie z was! Jakem Żyd. Skończone osły. Patrzą, przyglądam się wam i nic nie mówię. Przysłuchuję się temu, co mówicie. Syjoniści, szmoniści, wszystko to razem guzik z pętelką. Widzę, że nie macie zielonego pojęcia. Jeśli chcecie, to wam powiem, o co chodzi. A sprawa wygląda tak... Ale słuchajcie uważnie!

Bierze koniec bródki w usta, zamyka oczy i zaczyna rozmyślać. Trwa to bardzo długo. Potem zrywa się jakby ze snu i strzelając palcami zwraca się do gospodarza:

– Bądź pan taki dobry i podaj jeszcze jedną butelkę „wimoroziga”.

---

<sup>47</sup> *Erec Izrael* – Ziemia Izraela. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *czczy* (daw.) – jałowy, nic nieznaczący. [przypis edytorski]

## Rozdział V. Kasrylewski teatr

Wychodząc z winiarni spostrzegłem afisz, na którym widniały wydrukowane dużymi literami następujące słowa w języku żydowskim:

Po raz pierwszy w Kasrylewcce!  
Teatr Żydowski!  
Prawdziwy Adler z Ameryki!  
Największy komik świata!  
Pękać będziecie ze śmiechu!  
Takiej Baby Jachny<sup>49</sup> od stworzenia świata nie było!  
Drugiego takiego Hocmacha nie spotkacie!  
Dziś gramy zupełnie nową operę: *Kołodunia*<sup>50</sup>!  
Żydzi! Zostawcie wszystko, co macie!  
Żydzi! Idźcie do teatru! Żydzi! Czeka was rozkosz!  
Prędzej do kas!  
Biegnijcie wraz!

U dołu afisza sygnatura. Reżyser, dyrygent, dyrektor – Adler we własnej osobie. Ten autentyczny, prawdziwy Adler z Ameryki. Największy komik świata.

– Nie wie pan, gdzie się mieści teatr żydowski? – zagaduję pewnego Żyda, który akurat przebiega z paczką towaru pod pachą.

– Żydowski, powiada pan, ale co? – zagadnięty przeze mnie Żyd zatrzymuje się w biegu i obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głowy.

– Teatr żydowski – wyjaśniam.

– Jaki teatr?

– Teatr – wyjaśniam dalej – w którym gra się.

– Kto tam gra?

– Adler – powiadam – gra tam.

– A który Adler?

– Adler, ten prawdziwy Adler.

– Skąd jest ten Adler?

– Z Ameryki.

– Z Ameryki? To co on tutaj robi?

– Gra w żydowskim teatrze.

– A cóż on gra?

– *Kołodunię*.

– A co to znaczy *Kołodunia*?

Mam już dość i chcę odejść. Nie puszcza mnie jednak. Chce, abym mu powiedział, co to jest *Kołodunia* i co to jest „trejater”. Kto to jest Adler, który przyjechał z Ameryki.

Odpowiadam mu, na ile to jest możliwe, dokładnie. Staram się wyjaśnić, co to takiego teatr, co to *Kołodunia* i kim jest Adler. Mój Żyd wysłuchuje mnie uważnie, kłania się, splota i bez pożegnania zmywa się.

– Chano-Bejlo, dokąd to pędzisz?

---

<sup>49</sup> *Baba Jachne* – odpowiednik polskiej Baby Jagi, postać z dramatu ojca teatru żydowskiego – Abrahama Goldfadena. [przypis tłumacza]

<sup>50</sup> *Kołodunia* – tytuł dramatu Abrahama Goldfadena. [przypis tłumacza]

To jakaś kobieta krzyczy na całą ulicę. Nie wymawia litery **r**.

– Do tchejotchu – odpowiada kobieta, która również nie wymawia **r**, oprócz tego zamiast **a** mówi **o**. – O, ty nie idziesz do tchejotchu?

– Żeby ją szlag tchafił! Co powiesz na tę moją wielką panią, tę bogaczkę kaschylewską? – żali się pierwsza kobieta. – Moja pani chce, abym akuchat dziś oskubała i zchobiła gęś. A niech jej się zchobi czychak na... I jeszcze jej się zachciało usmażyć ją na smalcu. Oby ją w piekle smażono, Boże mój jedyny! Cały świat wali do tchejotchu, a ja mam być przywiązana do kuchni. Oby ją przywiązano za wszystkie cztechy łapy. Boże kochany!

– Po co jej słuchosz? Zo włosne pieniądze możesz iść, dokąd chcesz.

– Toteż wcale jej nie słucham. Lecę do domu, przebiecham się i z miejsca zasuwam do tchejotchu. Nawet gdyby miała się wściec.

Obydwie kobiety rozchodzą się, ja tymczasem mam z kim pójść do teatru. Kobieta rozgląda się i spostrzega, iż kroczę za nią. Zatrzymuje się, przez chwilę stoi bez ruchu i wnet kieruje się na prawo. Wtedy i ja skręcam w prawo. Wtedy ona w lewo. No to i ja w lewo. Ona zwalnia kroku. Ja w ślad za nią. Wtedy kobieta zaczyna biec. Tak, jak do pożaru.

– Co się stało? – dziwią się ludzie! – Dokąd lecisz? Bój się Boga!

– Jakiś nieszczęśliwy natręt – kobieta wskazuje na mnie. – Nie wiem, kto to jest.

W mig wokół nas tworzy się zbiegowisko. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Zaczynają wytykać mnie palcami. Akurat przejeżdża bałagula<sup>51</sup>. Wskakuję do budy i każę się wieźć do teatru.

Przed teatrem pełno młodzieży. Chłopcy i dziewczęta przekomarzają się, śmieją. Padają słówka i słóweczka.

– Przepuście pana dziedzica! – to o mnie. Śmiechu co niemiara.

– Ostrożnie! Jeszcze, nie daj Bóg, zgnieciecie mu kapelusz! – bractwo bawi się moim kosztem.

Ledwo udało mi się przez nie przepchnąć i dopaść kasy. Małe okienko. Proszę o bilet. Bractwo napiera na mnie z tyłu, naciska ze wszystkich stron.

– A pan szanowny jaki chce bilet? – to pytanie zadaje mi kasjer, chudy młodzieniec o długiej szyi.

– A jakie ma pan bilety?

– Są za jeden rubel, za dwa i trzy.

– A droższych nie ma?

Bractwo stojące za mną nie przestaje hałasować.

Kasjer, usłyszawszy moje pytanie, zrywa się z krzesła, wysuwa głowę przez okienko i głośnym krzykiem obrzuca stojących za mną.

– A niech was piorun! Rozejść się! Zaraz zawołam *gorodowoja*, reb Luzera z sikawką. Chodź pan – powiada do mnie – do bramy. Bractwo rozstępuje się cokolwiek i udaje mi się przez bramę wejść na podwórze. Stoi tam wielka stajnia czy też barak, przez którego deski prześwieca światelko, i z którego dochodzą ludzkie krzyki. Drzwi do baraku są do połowy otwarte. Dwaj potężnie zbudowani młodzieńcy stoją przy nich na straży. Pilnują, aby nikt nie wdarł się do wnętrza bez biletu.

– Ludzie! Pojedynczo! Pojedynczo!

Te okrzyki wznosi Żyd o wyskubanej brodzie, z szablą u boku. Prawdopodobnie to sam Luzer – *gorodowoj*. Tłum jednak ma go gdzieś i nie przestrzega porządku. Nikt nie chce pojedynczo wchodzić. Każdy chce być pierwszy i wszyscy naraz napierają.

– Przepuść tego goja<sup>52</sup> ze szpadą! Nie widzisz, kto to idzie? – ryczy jakiś gość, który na siłę się przepycha. Sypie słówkami i docinkami pod adresem aktorów: „gwizdacz”, „łapserdak”, „zielony agrest”, „pusta kiszka”!

---

<sup>51</sup> *bałagula* – furman. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *goj* – nie-Żyd. [przypis edytorski]

Rozglądam się. Kto to krzyczy? Jakaś znajoma mi mowa. Przyglądam się bliżej – i poznaję. Toż to Noach, portier z mego hotelu „Turkalia”. Za nim nadciąga spora grupa kobiet, chłopców i dziewcząt.

– Co to za kobieta? – pyta jakiś człowiek.

– To moja żona – odpowiada Noach. – Nie znasz mojej żony Sary-Perl? A to są moje dzieci.

– A to?

– To moja teściowa.

– A ta?

– To siostrzyczka mojej żony.

– A co to za młodzieniec?

– To jej narzeczony.

– A kto to jest ta dziewczyna?

– To siostra narzeczonego.

– A co to za młodzieniec?

– A to jest narzeczony siostry narzeczonego.

– A co to za dziewczyna?

– To jest siostra, to znaczy siostra narzeczonego siostry narzeczonego.

– Niczego sobie rodzinę macie, reb Noach.

– Sól ci w oko! Kamień ci w serce – Noach jest oburzony. – Powiedziałbyś przynajmniej, bez uroku, ty aktorzyno! Ty pajacu! Ty poganiaczu niedźwiedzi! Tfu! Ty gardłowiczu! Ty bułkożerco!

Tuż za portierem Noachem przepycha się w swoich wysokich buciskach posługacz hotelowy. Jeden z dwóch stojących przy drzwiach aktorów szturcha go z tyłu i wpycha do środka.

Po nim przemykają się inni. W większości bez biletów. Wśród nich dostrzegam właściciela mego hotelu „Turkalia”. Towarzyszy mu jakaś bardzo tęga kobieta. Toczy się, jakby była na kółkach. Kotysze się jak kaczką.

– Aha! I pan tutaj? – przez moment zapominam, że jest głuchy jak pień.

– Nie szkodzi – powiada na głos. Odnosi się wrażenie, że z nas dwóch ja jestem głuchy. – Nie najgorzej śpiewają.

– Pan tu po raz pierwszy? – pytam go grzecznie.

– To stajnia reb Lipy – odpowiada. – Przez cały rok trzyma tu konie. Czasem krowy.

– Chodź już! Chodź! – tęga kobieta szarpie go za poły. Wchodzą do środka. Zajmują miejsca w pierwszym rzędzie.

– Hej, aktorzy! Gdzie jesteście? – odzywa się dama w kapeluszu z białym piórkiem, cała w brylantach. Obok niej stoi kawaler, też w kapeluszu. Ma strzyżoną bródkę.

Przyskakuje do niej jakiś aktor. Jest to młodzieniec o wygłodniałej twarzy, w krótkiej marynarce i w brudnej koszuli.

– *Madame*<sup>53</sup> życzy sobie czegoś?

– Co znaczy życzy sobie? Kupiliśmy bilety. Dlaczego nikt nam nie wskaże naszych miejsc?

Aktor o wygłodniałej twarzy bierze od niej bilety i chce ich zaprowadzić do pierwszego rzędu. Tu okazuje się, że wszystkie miejsca są zajęte.

– Państwo wybaczą – zwraca się aktor do chłopca z dziewczyną. – Państwo usiedli nie na swoich miejscach.

Ci nie zwracają na to uwagi. Gryzą pestki i plują do torebki.

– A kto panu powiedział, że siedzimy nie na swoich miejscach! – młody człowiek nie przestaje gryźć pestek.

– Proszę okazać bilety – aktor bierze od nich bilety i pokazuje, gdzie mają usiąść. Są to dalsze miejsca.

---

<sup>53</sup> *madame* (fr.) – pani. [przypis edytorski]

– Pan nie będzie mnie uczył, gdzie mam siadać. Co to jest, za przeproszeniem, święte miejsce, bożnica?

Aktor zapuszcza się z nim w długi dyskurs. Młodzieniec i dziewczyna nie ruszają się z miejsca. Nie przestają też gryźć pestek. Aktor o wygłodniałej twarzy próbuje przesadzić inne osoby, ale bezskutecznie. Publika siedzi twardo. Nikt nie chce ustąpić. Choć weź i wyprowadź cały teatr siłą.

Dama z białym piórkiem i brylantami złości się:

– Co to za porządki w kasrylewskim „trejatrze”? Zwrócić pieniądze. Gdzie tu jest *gorodowej*?

Nie pozostaje nic innego, jak tylko ekstra dostawić dla niej dwa krzesła. Robi się trochę ciszej.

Powoli zapalają się lampki, zaczynają dymić i wydawać ostry zapach gazu. Pojedynczo pojawiają się przy scenie muzykanci. Nad sceną zwisa białe prześcieradło. Najpierw zjawia się bas – wysoki Żyd o gęstych pejsach<sup>54</sup> i złych oczach rozbójnika. Tuż za nim pojawia się bębniasta – garbaty Żyd o łysiejącej głowie. Następnie wchodzi trębacz – niski Żyd o grubych wargach. Po chwili – flecista o twarzy gruzlika i trębacz o złodziejskich, rozbieganych oczach. Za nimi trzech młodzieńców ze skrzypcami, zaś na samym końcu pierwszy skrzypek, najstarszy ze wszystkich muzykantów oraz dyrygent. Jest to rudy młodzieniec w białym papierowym kołnierzyku i w krótkiej marynarce. Włosy ma mocno posmarowane brylantyną. Na szyi niebieski krawat. Staje twarzą do publiczności, pstryka wszystkimi palcami i uśmiecha się z daleka do jakiejś dziewczyny w białych rękawiczkach. Kapela zajmuje miejsca. Zaczyna stroić instrumenty. Dyrygent uderza smyczkiem po skrzypcach, trębacz o grubych wargach podaje ton, a za nim robią to wszyscy pozostali i zaczyna się przekomarzenie wszystkich instrumentów. Skrzypce roztkliwiają się, płaczą i szlochają. Trębacz wyciąga „holdir”, „holdir”! – zupełnie jak rozsierdzony indyk. Bas burczy niczym niedźwiedź, zaś flet gwizdże na wszystkich. W sumie powstaje hałaśliwa mieszanka, jakby na jarmarku sto bab zaczęło gadać naraz, jakby wszystkie kaczki i gęsi zaczęły w jednej chwili kwakać i gęgać.

Pojawia się jakiś młody człowiek w zielonej kapocie. W jednej ręce trzyma plik papierów, w drugiej pół bułki i dzwonko śledzia. Siada na ławeczce, umieszczonej wysoko, naprzeciw sceny i podjada sobie.

– Kto to jest? – słyszę, jak dama z białym piórkiem zadaje pytanie swemu kawalerowi.

– To ich sufler.

– Co to znaczy sufler?

– To znaczy ich podpowiadacz – odpowiada kawaler.

Z drugiej strony prześcieradła dochodzą odgłosy rozmów aktorów.

– A gdzie jest, do wszystkich diabłów, Fradl, nasza primadonna?

– Poszła do szewca. Nie ma w czym wyjść na scenę. Urwał jej się obcas.

– Nie mogła, cholera, pójść przed południem? Ładna mi primadonna!

– Abramku, zdejm spodnie!

– Co, przeszkadzają ci moje spodnie?

– Ładna mi Baba Jachne w spodniach!

– Przecież na wierzchu mam sukienkę. Co to przeszkadza?

– Wiem, że na wierzchu nosisz sukienkę. A co się stanie, jak cię rzucę w ogień? Wtedy lecisz głową w dół i nogami do góry. Wszyscy zobaczą wtedy twoje spodnie.

– Daj lepiej pociągnąć twego papierosa, pętaku jeden.

– Hocmach! Gdzie twoja broda? Dlaczego jeszcze jej nie przykleiłeś? Rywko! Pomaluj sobie twarz kredą? Menasze! Zrób sobie z tyłu garb, będziesz wyglądał bardziej na Żyda. Gdzie są nogi?

– Jakie nogi?

– Kto przyniósł nogi z jatki? Tysiąc razy mówiłem, że jak się gra *Kołdunię*, trzeba mieć nogi! A niech was piorun, Welw! Co z ciebie za reżyser, frajerze jeden?

<sup>54</sup> *pejsy* – długie pasma włosów na skroniach, zwieszające się przed uszami, noszone przez ortodoksyjnych Żydów. [przypis tłumacza]

Nagle rozlega się dzwonek i głośne stukanie. To z dzwonkiem w rękę wbiega jakiś osobnik i niemiłosiernie dzwoni. Mija kilka chwil i publiczność znowu zaczyna hałasować. Osobnik z dzwonkiem pojawia się znowu. Powtarza się to jeszcze kilka razy, aż rudy skrzypek budzi się. Wykonuje kilka ruchów głową, raz w górę i raz w dół, poprawia kołnierz z niebieskim krawatem, uderza pałeczką i muzykanci zaczynają grać jakiś „kawałek”. Kończą i wtedy tłum znowu zaczyna hałasować. Muzykanci grają nowy utwór. Tłum się jednak nie uspokaja, dopóki prześcieradło nie idzie w górę i nie zaczyna się sztuka.

Najpierw wchodzi na scenę dziewczyna w ni to sukni, ni to koszuli. Włosy ma rozpuszczone, wygląda jakby ją dopiero co obito i sponiewierano. Śpiewa smutną piosenkę o biednej sierotce na nutę *Stoit góra wysokaja*. Publiczność podtrzymuje ją na duchu śpiewając: „Sierotka! Sierotka!” Z początku cicho, potem coraz głośniej i głośniej, tak, że dziewczyny już nie słychać. Wówczas któryś z aktorów wskakuje na scenę i prosi publiczność, aby zachowywała się cicho. Tłum milknie, ale nie na długo. Dziewczyna znowu zaczyna śpiewać, a publiczność znowu przyłącza się, śpiewając: „Sierotka! Sierotka!”

Znowu pojawia się ten sam aktor. Potem musi się zjawić jeszcze kilka razy. Traci cierpliwość.

– Czy się wreszcie nie zamkniecie? Zaraz zawołam reb Luzera z sikawką. Wtedy jasny piorun was trzaśnie!

Tłum przestaje śpiewać. Zaczyna jednak wydawać sądy o grze, każdy według swego widzimisie. Jeden powiada, że śpiewaczka ma głos skrzypiącego łożka, drugi, że gdyby ktoś jej podał bułkę do zjedzenia, to zrobiłby dobry uczynek. Z tylnych ławek słychać okrzyki: „Ciszej! Ciszej!” Nic to jednak nie pomaga, aż do momentu, kiedy na scenę wpada Hocmach – Żyd w dziwnym sztrajml<sup>55</sup>, o krótkiej brodzie i długich pejsach. Przewraca oczyma, a na plecach ma garb. Niesie koszyk z towarem, z którym biega po scenie jak wariat. Głośno wymienia to, co ma na sprzedaż: baty, laseczki, zapalki, nożyki.

– Papierowe pończochy! Kryształowe sukienki. Szpilki, nitki. Kupujcie kobiety, kupcie coś!

Za każdym razem łapie się za pejsy, podskakuje i krzyczy:

– Hocmach! Niech mnie szlag trafi!

Publiczność jest Hocmachem zachwycona. Bije brawo. Woła: „Hocmach, hurra!” Niektórzy widzowie stukają laskami o krzesła. Hocmach usiłuje uspokoić tłum. Staje i zaczyna wymachiwać rękami. Krzyk jednak rośnie:

– Hocmach, zatańcz! Zatańcz, Hocmach!

Nagle coś zatrzepotało skrzydłami, poleciało w dół i spadło prosto na kapelusz z białym piórkiem damy w brylantach. Ta ze strachu mdleje. W teatrze popłoch. Rozlegają się krzyki:

– Gwałtu! Żydzi! Ratunku!

Wtem ktoś krzyknął: – Pali się!

Nic więcej nie było trzeba. Zaczęło się. Skoki przez głowy, napór na drzwi, krzyki: – Chasiu, gdzie jesteś? Jankl, do mnie! Rywko, trzymaj się! Motl, umieram! Brucho, nie krzycz! Beniu, gdzie jesteś? Jentl? Mamo, jestem tutaj!

Jeszcze chwila, a byłby z nami wszystkimi smutny koniec. Szczęście, że portier Noach wpadł na pomysł i wybawił nas wszystkich od śmierci. Wskoczył na krzesło i rozdarł gębę:

– Idioci! Kretyni! Bałwany! Zwyczajne osły! Kozie brody! Głupie gardziele! Dusze niewieście! Co za hałas? Co za krzyki? Dokąd pędzicie? Zaraz będzie z was jajecznicza! Durnie! Kogoście się przestraszyli? Głupiej kury? Nie zauważyliście, że kura zeskoczyła z belki? Reb Luzer, dlaczego pan nic nie mówi? Nastaw pan sikawkę! Muzykanci! Czort was i waszych ojców! Coś wesołego! I to już!

Muzykanci grają coś wesołego i tłum wraca na swoje miejsca. Wymykam się powoli z teatru, łapię dorożkę i każe się zawieść do hotelu „Turkalia”. Buda, którą jadę, trzęsie się na wybojach i zatrzymuje co chwila.

<sup>55</sup> *sztrajml* – chasydzki kapelusz obramowany lisim futrem. [przypis tłumacza]

– Dlaczego pan się ciągle zatrzymuje?

– Czort go wie, wio! Zachciało im się oświetlić nasze kasrylewskie blocko, to wymyślili jakieś tam „lamtarnie”, z powodu których nie można w ogóle jeździć. Konie boją się słupów. Nie są przyzwyczajone do tego, aby je oświetlano. Wio! Raz po raz wymyślają jakieś nowe plagi. Najpierw jakąś tam „trambudę”, oby ją ziemia pochłonęła! Wio! Po niej „lamtarnie” do straszenia koni. A potem zabronią pić wodę z Gniłopiatki. Wio! Pomoże im to, wyobraźcie sobie, jak umarłemu kadzidło. Woziwody mówią, że nawet gdyby mieli zginąć, nie dopuszczą do tego, aby mieszkańcy Kasrylewki pili wodę ze studni! Wio! Ci bogacze już sami nie wiedzą, co wymyślić. Oby ogień ich spalił! To ma podobno swoje źródło w Jehupcu. Bogacze z Jehupca nie mają widocznie większych kłopotów. Wio! Siedzą i łamią głowy, jak tu zabrać Żydom zarobek, jak wyrwać biedakowi ostatni kęs z ust. Niech ich nagła śmierć zastanie w Jehupcu. Wio, dzieci, wio!

## Rozdział VI. Kasrylewskie pożary

Przebywając na stacji w hotelu „Turkalia”, toczyłem co noc zacieklą wojnę ze wściekłymi bestiami, które napadały na mnie i znęcały się nade mną. A postępowały tak dlatego, że nie chciałem kłaść się z nimi do łóżka i ścieliłem sobie posłanie na kanapie.

„No i cóżeś wskórał, coś osiągnął?” Tak się ze mną droczyły. „I tak będziemy cię gryźć i w dodatku będziesz miał twardo pod głową. Nad ranem wszystkie gnaty będą cię bolały.”

Nagle słyszę jakiś dziwny dźwięk. Bom! Bom! Bom! i I wnet rozlegają się kroki biegających ludzi, którzy krzyczą: „Pali się! Pali się!” Wstaję i podchodzę do okna. Jedna połowa miasta przedziwnie oświetlona, druga pogrążona w straszliwych ciemnościach. Szybko wkładam ubranie i wybiegam na dwór. Z daleka dochodzi jakiś dziwny krzyk, przypominający odgłos bez słów. Ludzie ciągną w tamtym kierunku. Są zaspani. Ziewają i drżą z zimna. Jeden drugiemu opowiada niestworzone rzeczy: kto pierwszy usłyszał o pożarze i jak usłyszał. I każdy snuje swoje przypuszczenia na temat, kto się właściwie pali.

Jeden powiada: – To Josl!

Inny stwierdza: – To Menasze!

A znów inny: – To ani Josl, ani Menasze! To Sara-Zisl!

– Skąd raptem Sara-Zisl? – zaprzecza ktoś. – Przecież dom Sary-Zisl stoi w nowej dzielnicy, a pożar buszuje w starym mieście.

– To tak się pali w starym mieście, jak ja jestem panią rabinową – wtrąca inny. – Nie widzisz, że się pali koło łaźni?

– Cicho, sza! Po co się spierać – ktoś próbuje łagodzić spór. – Chodźmy lepiej tam, to się dowiemy, jak naprawdę jest.

Ruszają. Podążam za nimi przysłuchując się ich rozmowie.

– Już ktoś zmówił błogosławieństwo na intencję pożaru!

– Z czego wnioskujeś?

– Bo był ubezpieczony.

– Skąd wiesz?

– A jakże inaczej. Gdyby nie był ubezpieczony, nie byłoby pożaru. Dom sam się nie zapala.

– Co powiesz Jankl? Ładny pożar? Cudo! Sama rozkosz!

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.